



Siostry

Izabela Szolc

WYBICKI



Dedykuję córkom żołnierzy

Stanąć, nie iść dalej,

Nie błysnąć w czynie, rdzewieć jak miecz w pochwie –

Wstrętne. Oddychać – to jeszcze nie życie.

Choćbyś nad życiem życie piętrzył, nigdy

Nie będzie dosyć. A z tego jednego...

Ile zostało?

Alfred Tennyson, *Ulisses* (w przekładzie Z. Kubiaka)



Bliźniaczki

Jabłonny Sad, 1821 rok

Bliźniaczki przez całe dzieciństwo brane są za jeden wspólny byt. Współistotny sobie, zrodzony jeden z drugiego w tej samej chwili. Tak naprawdę Anna Konstancja jest starsza o minutę; czy raczej młodsza, bo według rozeznania akuszerki najpierw rodzi się dziecko, które zostało później poczęte. Czyżby więc Józefina Maria pojawiła się pierwsza? Spór godny dysputy teologicznej: Jeżeli Ojciec i Syn nie są *homousios* – „współistotni”, to jakże nazwać ich *consubstantialis* – „z jednej istoty”?

Fizycznie dziewczynki są nie do odróżnienia. Obie wzięły po matce egzotyczną płec koloru dymu i czarne włosy, tak gęste, że przy rozczesywaniu utykają w nich zęby każdego grzebienia. Siwe oczy, wydatne nosy pod wypukłymi czołami to spadek po rodzinie ojca – hrabiostwu Jabłońskich. Usta duże, ciemne, niepokojąco zmysłowe – znowu matka. Trudno powiedzieć o dzieciach, że są ładne. Raczej inne; twarze ciekawe, które należy czytać jak powieść awanturniczą. To z niecierpliwością rozcinając kartki srebrnym nożykiem, to z ukontentowaniem śliniąc ich rogi. Anna Konstancja, Józefina Maria – panienki Jabłońskie. Dzieci, chociaż w słowie „dzieci” zawiera się też osoba ich starszego brata Teodora Floriana. Dziewczynki więc dla wszystkich w Jabłonnym Sadzie pozostaną właśnie bliźniaczkami.

Dworek słynie z biesiad, ale już nie z balów. Tu się nie tańczy – nie pozwalają na to głęboka wiara hrabiny Pauliny Walerii, zwanej przez bliskich Paulette, oraz kalectwo jej męża Jana Zygmunta. Hrabia, były

legionista, własną stopę zostawił na San Domingo. Niejako zapłacił nią za miłość do Pierwszego Konsula. I za miłość do Kreolki Paulette.

Służba przyzwyczała się już do egzotycznego wyglądu Pani, która nie układa anglezów, tylko smaruje głowę wodą z cukrem, szesuje włosy do tyłu i spina je w kok na karku. Robi to sama albo pomaga jej czarna pokojówka Tituba, która przybyła z Państwem z kolonii. Nikomu innemu Pani nie pozwoliłaby się nawet dotknąć; często Jan Zygmunt natyka się na nie, jak pochylone ku sobie szepczą w gardłowej francuszczyźnie. Nie podoba mu się to. On sam zapomniał, jak pachnie ciało jego żony za uchem, pomiędzy piersiami, a schylona Czarna swobodnie wdycha ten zapach... Trójka dzieci i basta! – powiedziała swego czasu hrabina mężowi. Wydaje się jej, że jest dobrą matką, ale to nieprawda. Brakuje jej cierpliwości, brakuje czasu na cierpliwość. Nikt z sąsiadów jednak nie powiedziałby, że Jabłonny Sad jest nieszczęśliwym dworem. Raz do roku wszyscy w okolicy dostają zaproszenie na szczególną biesiadę. Berlinki oraz zwyczajne wozy parkują w rzędach przed dworkiem o czarnych drzwiach, ciemnych okiennicach, którego jedną ścianę zarasta purpurowe dzikie wino. Tymczasem w kuchni czyni się ostatnie przygotowania, a Paulette w sypialni na piętrze pilnuje, by bliźniaczki zmówiły pacierz i w białych płóciennych koszulkach poszły spać. Ich starszy brat z sypiącym się już wąsem przyjechał w odwiedziny ze szkoły (kształci się w Warszawie), oczywiście pozostaje na wieczery. Paulette pochyla się, śniadą dłonią przytrzymując szpilki w koku, całuje bliźniaczki na dobranoc. „One nigdy już nie zaznają takiego szczęścia jak teraz, gdy są dziećmi”, myśli sobie, patrząc, jak córki odpływają w sen. Później spryskuje się wodą kolońską, pudruje i rusza u boku męża przywitać gości. Mężczyźni ją adorują – to nic nowego. Błądzi wzrokiem po brodatych twarzach, ocenia kobiece fryzury, wpięte w nie perły, wczesane – u panien – białe wstążki. Dziewczęta i adoratorki mrocznego Teodora Floriana. Wzdycha. Mąż prosi do stołu.

Ramiona kobiet drżą, chłód przenika pod bufiaste rękawy.

Mężczyźni pokrzykują:

– Obudź się, obudź, indyku panie, zaraz się zaczniesz spożywanie.

Obudź się, pijany indyku, obudź się w strachu i krzyku.

Kucharze otwierają z trzaskiem drzwi jadalni, wnoszą indora na tacy – jak na tarczy. Roznosi się zapach pieczystego. Szyja i fragment piersi ptaka nie są oskubane, mokre od stopionego lodu, blade korale lekko się trzęsą, białka oczu zasnuwają się mgłą.

Oprócz gości tę procesję potraw i dodatków obserwuje z zapartym tchem rozespana bliźniaczka, która ukryła się pomiędzy kredensem a uchylonymi podrzędnymi drzwiami.

Sparaliżowany, na wpół usmażony indyk budzi się, nim zajmie swe miejsce na stole. Krzyczy agonalnie. Nie zabrudzi stołu kałem, bo wcześniej przepłukano mu jelita wodą. Ta śmierć, trwająca przecież chwilę, dłuży się w nieskończoność. Jakaś kobieta klaszcze, inna mdleje. Indykowi staje serce, głowa opada jak zwiędnięty kwiat. Na to ugięcie, więcej mówiące niż wrzask, bliźniaczka wyskakuje z kryjówki.

– Anno Konstancjo?! Józefino Mario?! – Matka unosi się znad stołu.

– Nie rozróżniasz ich, Paulette? – pyta sąsiadka. Jest ciekawska.

– Wiązałam im różnokolorowe wstążki na nadgarstkach, ale szybko nauczyły się na nie zamieniać.

– Ach, tak – kobieta cmoka z udawanym współczuciem.

– Wiem, jak je rozróżnić, mamó – odzywa się Teodor Florian.

– Jak? – hrabia bierze nożyce do mięsa.

– Po zapachu. Rozróżniam je po zapachu.

Chuda i długonoga jak źrebię dziewczynka wybiega z jadalni; dalej słyhać tylko jej głuche kroki na dębowych schodach prowadzących na piętro. Jej samej to tupanie wydaje się niezwykle ciche, bo serce tak głośno bije. Zagłusza wszystko z wyjątkiem smutku wcielonego w indycy krzyk. Będzie ją budził w nocy.

Jest młoda i pewnie dlatego wydaje jej się, że poczucie istnienia – własnej odrębności – przychodzi z melancholią. Do augustiańskiego „Jestem, więc Bóg istnieje” oraz kartezyjańskiego „Myślę, więc jestem” jedenastolatka dokłada „Cierpię, więc istnieję”.

Długa szyja, czarna grzywa, kościste łokcie i kolana, piersi ostatnio nabrzmiewające wokół drobnych sutków.

Z gardła nocnego ptaka wyrывa się pisk, kiedy dostrzega przed

sobą ducha. W ciemności uderza wyciągniętymi obronnie rękoma – jak ci, którzy odruchowo kryją głowę przed lecącym głazem. Tafla lustra wytrzymuje cios małych piąstek, a jego zimno – nawet teraz, w upalnym maju – ocuca ją. Trzeźwi. Przygląda się sobie. Ciemnej buzi z oczami jak guziki; guziki, które we wczesnym dzieciństwie tak lubiła gryźć (jej bliźniaczka – nie). Pieprzyk, który w rzeczywistości nosi nad prawą powieką, spogląda na nią z lewej strony. „Siostra ma identyczny”, myśli. Jej obecność zaczyna przybierać konkretny kształt. Coś się przebudziło. Dziewczynka drży z podniecenia.

„Jakie jest moje miejsce w świecie? Nawet jeśli całym światem jest Jabłonny Sad?”

Materiał jak wąż ociera się o czarną boazerię. Dłoń dotyka ruchliwej łopatki. Jakaś inna ręka.

W odbiciu pojawiają się bliźniaczki.

– To ty?

– To ja.

Przepis jest tajemnicą przypominaną oględnie, acz cynicznie: jak dykteryjka o Parsifalu i Świętym Graalu. By nie pozwolić pojąć, ale i nie dać zapomnieć...

Z ptaków musi to być indyk, bo ma najsilniejsze serce. Wraz z nim do gospodarstwa sprowadza się lód, bryły zakopuje w piwnicy. Indyka pasie się ziarnem. To królewski ptak. Pasują do niego: borówki, żurawina, pieczone jabłka.

Oprócz lodu potrzebny jest piec, który ma dobry ciąg, nawet gdy jest otwarty.

Kiedy przychodzi odpowiedni czas, upija się indyka ciężkim czerwonym winem, które sprowadza nań nieprzytomny sen bliski śmierci. Oczywiście nie można przesadzić – śmierć indyka na tym etapie jest błędem.

Tylko magik, a nie zwykły kucharz, potrafi śpiącego ptaka oskubać i wypatroszyć tak, by nie uszkodzić obiegu płucnego, który dodatkowo karmi mózg i serce. Mózg i serce chłodzone są kawałkami lodu; lód trzeba wymieniać często, by odpychał żar z wnętrza pieca, chronił przed nim głowę ptaka. Opieka się go częściami. Jeszcze śniąc, wjeżdża na stół. Tu Państwo budzą go śpiewem.

Otwiera oczy sparaliżowany, usmażony, martwy. Indyk Łazarz. Podobno ten strach, ta trwoga agonii przenika mięso, nadając mu niepowtarzalny smak. Srebrna szpilka wbita przez gospodarza w miejsce, gdzie czaszka łączy się z kręgosłupem, kończy ten niegodny cud.

Jedzcie i pijcie, oto ciało moje.

Następnego dnia są poprawiny. Indycze mięso drży w galarecie.

Służąca przyniosła z ogrodu pierwszy w tym roku bez. Biały. Trzonkiem noża rozbiła jego stwardniałe łodygi, by lepiej chłonał wodę. Dłużej pozostał świeży ku radości biesiadników. Piękny, pachnący bez w swojej najlepszej terażniejszości.

Miejsce u szczytu stołu – miejsce gospodarza – wciąż jest puste. Jan Zygmunt zasiedział się z Pawlikowskim i Wiechwiewiczem w bibliotece, na kieliszku madery. Wbrew obyczajom.

Paulette siedzi naprzeciw pustego krzesła i stara się nie okazać zniecierpliwienia. Po obu swoich stronach rozsadziła bliźniaczki, dalej siedzą goście, Teodor Florian. Ten ostatni podnosi srebrną łyżeczkę, chucha na nią i zawiesza sobie na nosie, by rozśmieszyć małe siostry.

– Florek! – bez przekonania gani go matka. A później dodaje: – Przyrowadź panów i ojca.

To już jednak niepotrzebne. Przyszli właśnie, zaróżowieni na twarzach, okadzeni cygarowym dymem.

– Jaki piękny bez, Janie Zyguncie. U nas jeszcze nie rozkwitł – siadają.

Modlitwa.

Spokój i godność kończącego ją „Amen” zostają zmaćcone krokami przybysza, gońca z zajazdu pocztowego. Nie kłaniając się paniom, co je wyraźnie oburza, chłopak kroczy wprost do centralnego miejsca przy stole. Szepcząc, pochyla się ku Jabłońskiemu. Ten na przemian to purpurowieje, to blednie. Podrzuca głowę, aż świszczą w powietrzu posiwiałe, napoleońskie warkoczyki, których nigdy nie zgodził się ściąć; pielęgnuje je na znak swojej gorliwej wiary. Opiera dłonie o blat stołu, podpierając się, próbuje wstać, coś powiedzieć, wygłosić. Pod obrusem płacze się sztuczna noga, uderza o stół. Stuk drewna o drewno. Jan Zygmunt Jabłoński, rażony nagłym atakiem apopleksji, wraz z krzesłem

wali się do tyłu. Obrus, pełen drobin stłuczonego szkła i białych kwiatów, okrywa go niczym całun.

– Jan! – Paulette i inni są już przy nieruchomym.

Teodor Florian wyprowadza dziewczynki.

– Co się stało? Co się stało?

– Trzeba zawezwać lekarza!

Napoleon umarł na Świętej Helenie. Otruty arszenikiem przez Anglików i francuskich rojalistów. Na raka – tak jak jego siostra Karolina, ojciec i dziad. Od chlorku rtęci, który zaaplikował mu własny lekarz. Zamordowany w akcie zemsty przez hrabiego de Montholona, któremu już na „Czarciej Wyspie” uwiódł żonę i zapłodnił.

Ten sam Napoleon, który z nudów liczył na zesłaniu łyżeczki do kawy. Dochodząc zawsze do tej samej liczby, myślał: „Powinienem być umrzeć w chwilę po wkroczeniu do Moskwy”. Prawda.

Teodor Florian wprowadził siostry do ogrodu, a potem idą drogą prowadzącą z domu do dworskiego folwarku. Powietrze jest rześkie, a niebo przezroczyście.

Bliźniaczki idą objęte, milcząc. Teodor postępuje trzy kroki za nimi. Wyglądają jak obcy sobie – może to i prawda, w końcu one siedzą w Jabłonnym Sadzie, on zaś wiele lat temu wyjechał do szkoły w Warszawie. Jednak nie mogą się bez siebie obejść, tę trójkę łączy niewidzialna nić wspólnego pochodzenia; nie mogłoby się stać tak, że one pójdą przodem i zapomną o nim albo on pozostawi je same sobie. Łącząca ich więź jest niemal namacalna. Także napięcie, dające się odczuć w powietrzu.

Teodor Florian sięga do kieszeni surduta, zaczyna szeleścić ukrytą w niej papierową tutką. Dwie głowy obracają się, a młody mężczyzna nie może ukryć uśmiechu satysfakcji.

– Masz cukierki – nie ma w tym pytania. – Daj.

Oblepiają go. Czuje zapach wykrochmalonego perkalu, drożdżowego potu, wody konwaliowej, jeszcze z zeszłego roku.

– Teodorku-Florku, skarbie najdroższy, bardzo prosimy – chórem.

– Psują wam się od tego zęby – rękę z tutką trzyma uniesioną nad głową. Podskakują. Łachoczą go, ale wrażliwe miejsca chroni grube sukno ubrania.

– Ty wstrętny brzydalu! – próbują go ugryźć, żeby w nieuświadomiony sposób dowieść, że nie są szczerbate.

Bliźniaczka zaciska usta na wolnej dłoni, a Teodor Florian ulega.

– Zjemy wszystkie – raczą się cukierkami. Z pełnymi ustami, zamiast milczeć, śmieją się, przekomarzają.

– Co z ojcem? Teodor?

Wzrusza ramionami.

Przystanęli przy wypełnionej mętną deszczówką gliniance, do której nie wolno im się zbliżać samotnie.

– Spójrzcie – w czymś, co wygląda jak mokry gałgan, Teodor Florian rozpoznaje zwłoki małego, czarnego psa.

– Czy to jeden z naszych?

– Nie.

– Co mu się mogło stać?

– Zagłodzony utonął – mówi Florian.

W drodze powrotnej natykają się na chłopskie dziecko, bardzo małe. Chłopiec ubrany jest tylko w brudną, płócienną koszulę. Zbyt długa, ciągnie ogon po ziemi, i zsuwa się mu z ramienia, które przywodzi na myśl oskubane skrzydło ptaka.

– Lepiej, żeby puszczali je nago.

Zaczerwienione, oblepione muchami oczy (niewiarygodne, że jest tyle much!) biegają po twarzach rodzeństwa. Tam i z powrotem.

– E, e, e.

– To nasz?

– E, e, e – zdesperowany dzieciak, który wywęszył słodki zapach, wytrąca bliźniaczkom cukierki. Wysypują się, lukrują pyłem drogi.

– Głupek! Teraz są już niedobre!

Ale dzieciak wciska kawałki karmelu w buzię, gwałtownie porusza szczękami, aż piasek chrobocze mu w ustach.

Wracają do domu i matka wychodzi im na spotkanie. Jej ciemna skóra jeszcze poszarzała, a oczy, zwykle wielkie i łagodne, pod zapuchniętymi od płaczu powiekami zamieniły się w szparki, co nadaje jej twarzy złośliwy, tępy wyraz.

– Jak ojciec? – pyta Teodor Florian, pochylając się nad jej wyciągniętą dłonią.

– Usnął – mówi głosem wypranym już z emocji. Po chwili dodaje:
– Martwi się o swoje psy. Powiedziałam, że będziesz je karmił, dopóki nie stanie na nogi.

– Ja wracam do szkoły. Zaraz.

Paulette nie próbuje go do niczego przekonywać, oboje wiedzą, że hrabia już się z łoża nie podniesie. Kobieta pamięta, że w tymże łóżku, wielkim jak okręt, urodziła dziewczynki. Jedną po drugiej. Syn przyszedł na świat na prawdziwym morzu, nie na ciężkich, napierających na ciało i przesiąkniętych potem wielkich poduchach, z których ona wyłoniła się, podduszona po mnogim porodzie, a po sypialni zamiast mew kołowało pierze, bo w bólu zaciskała zęby i rozdarła pokrycie.

– My to zrobimy – deklarują bliźniaczki.

– Umyjcie ręce, całe pobrudzone!

– Zbierały cukierki z glinianki.

– Nawet mi tego nie mów... Jeśli nie ty, to kto? Chłopkom na to nie pozwolę, Jan by się wściekł.

– Powiedz Titubie. Ona je zna. Zna ich naturę.

– Nie wiem, czy mogę jej to zrobić...

I Tituba karmi psy. Wysokie w kłębie, długouche, szybkie i nieubłagane. Rzucają się na krwawe ochłapy, które podaje im na kiju przez ogrodzenie. Modli się przy tym – w końcu ma do czynienia z diabelską sforą. O, tak. Sam diabeł wytresował brytany; a może ich krwiożerczość stworzył kto inny – Ten Co Wybrukował Piekło?

Tituba szura butami w wiosennym błocie, na którym kropelki krwi utrzymują się jak oliwa. Boi się o sadzonki. „Byle się nie zmarnowały” – odpędza tym zmartwieniem inne myśli.

Ojciec często teraz krzyczy za drzwiami swojego pokoju. Miejsca, którego nie może opuścić, gdyż członki odmówiły mu posłuszeństwa. Nie czuje ich. Zesłano go do wnętrza umysłu, tam gdzie nie może towarzyszyć mu matka.

W rzeczywistości Jana nic nie boli, nie czuje nawet przeciągu na skórze, ale Paulette nie odstępuje łoża bóleści, jak wierny kamerdyner Constant nie odstępował Napoleona na Wyspie. Pozostają jednak osobni, w innych bytach, a jedno z nich zazdrości drugiemu. Nie można być pewnym, czy Jana Zygmunta przyprawiła o paraliż wieść o śmierci

Napoleona, ale tak się mówi w okolicy. Plotki dotarły też do Warszawy, do szkoły Teodora Floriana.

Ojciec często teraz krzyczy. Bliźniaczka siada wyczekująco pod drzwiami. Karmi się smutkiem, smutek przenika ją do głębi.

Dziewczynka się zmienia. Jeszcze sama nie wie jak. Jeszcze nie postanowiła. Jest jednak możliwe, że to samo przydarzy się jej siostrze. Jak menstruacyjne plamy, nieświeżo brązowe zamiast oczekiwanych melodramatycznych czerwieni, odkryte tego dnia na halce.

Teodor Florian przyjeżdża, by skarżyć się na ojca. Matka źle wygląda, mówi.

Niedługo będziesz kobietą, szepcze, przyciskając siostrę do drzwi, za którymi „spoczywa” gospodarz. Wkłada rękę pod ubranie, aż napinają się szwy. Skóra jest bezwłosa, ale gorąca, lepka – skóra pod pachami bliźniaczki, wokół pępka, w cieniu ud. Brat ją bada i pieści.

Bliźniaczka sztywnieje, czuje się wściekle obnażona. A wtedy młody mężczyzna wyjmuje rękę, która biegła po niej jak owad, podnosi ją do nosa, wacha.

Tituba odmawia pomocy przy sparaliżowanym. Żadna siła jej nie przekona. Nie jest niewolnicą. Tu nie ma niewolników. Nie, nawet jeśli pamięta, jak leczyła rany chłopów, których za „męskich” czasów Jan Zygmunt wychłostał tak, że skóra została zdarta z grzbietu. Wtedy Tituba się go nie bała, teraz uważa go za zombie i strach ją oblatuje. Nie dotknie człowieka zaczarowanego przez *brokor* w żywego trupa. Wyraźnie widziała: bezkrwiste powieki, opuszczone do połowy na oczy obrócone białkami, wilgotne jak ciało ostryg, kiedy podważa się ich muszle. Jego miejsce jest w ziemi albo w Niebie, ale nie w Jabłonnym Sadzie!

Nabiera w usta polskiego cydru, prosto z butelki, i rozkoszuje się jego palącym smakiem na języku. W zasadzie nie brakuje jej już rumu – tylko czasami, kiedy nagle wybudzona z głębokiego snu czuje, jakby miała go pełno w ustach, zamiast śliny... Jej ciało pamięta. Prawie nauczyła się znosić zimne miesiące (których jest więcej niż tych ciepłych), zaakceptowała dotyk szorstkiej baranicy na swojej skórze. Skórze czarnej a błyszczącej jak egzotyczny krem – w tym miejscu zamiast pożądania budzi raczej odrazę. Tutaj chce się, by kobieta była

biała i delikatna jak łabędzi puch; tam, skąd pochodzi Tituba, nawet figurki Najświętszej Marii Panny mają czarne twarze, czarne włosy. „Córka diabła”, mówili o Titubie w Jabłonnym Sadzie. Wciąż tak mówią, tyle że ciszej, szeptem – od kiedy w kościele przyjęła komunię ze swoją panią i ucałowała ryngraf z Matką Boską Częstochowską.

Są z Pauliną Walerią mlecznymi siostrami, ale z tym, w przeciwieństwie do ostentacyjnej religijności, się nie afiszują. Nawet by w to nie uwierzono. Z Paulette rozmawiają w dziwnej mieszance francuskiego i świszczących polskich zgłosek, choć potrafią jeszcze porozumiewać się bez słów, bo wspólne mleko zastępuje ich krew. Niech stary dziedzic Jabłoński umrze, by obie, pod rękę jak dzieci, mogły wrócić do domu. Tego pierwszego... Gdyby to było w ogóle możliwe!

To wszystko dzieje się na końcu ogrodu, który milczącym nadaniem został darowany przez Paulette Titubie. Stoi tu z czterech stron otwarta szopa, której wysmołowany ze względu na kaprysy pogody dach ryzykownie próbuje utrzymać się na jedynym, centralnym, czerwono-zielonym filarze. Konstrukcja z każdą zimą coraz ciężiej stęka pod pierzyną śniegu. I podobno każdy płatek śniegu jest inny.

Filar opiera się o kamienny stół poplamiony woskiem. Dwoma rzędami stoją świece, które wyszły spod ręki gospodyni, ale to Tituba pamięta o ich zapalaniu. Ludowy ołtarz, jakby żywcem przeniesiony z San Domingo, od czasu urodzenia dziewczynek Paulette stara się omijać szerokim łukiem. Same dziewczynki natomiast coraz częściej tu przychodzą, zaniedbane przez matkę, która stara się wykrzesać płomień z Jana Zygmunta.

Na ołtarzu stoi hebanowa figurka mężczyzny. Mniej więcej półmetrowej wysokości, ozdobiona prawdziwymi włosami, zieloną kapotą, czerwonym płaszczem. W negroidalnej twarzy błyszczą oczy z żółtych kamyków. Dłoń o smukłych palcach i wątłym, wydłużonym nadgarstku zaciska się na złotych kluczach.

– Czy to święty Piotr? – pyta bliźniaczka. Nadeszła bezszelestnie zarośniętą ścieżynką.

Tituba nie odpowiada. Policzki ma rozdęte od cydru, bo właśnie potężnie pociągnęła z butelki. Rozkłada ręce i zaczyna kręcić się jak

wiatrak, aż kloszowa spódnica unosi się, pokazując halki.

Bliźniaczka małpuje ruch i już, już odczuwa czysto dziecięcą przyjemność z szumu, jaki z każdym obrotem narasta w jej uszach.

Tituba gwałtownie zamiera i pluje jabłecznikiem na posąg i świece; wykwitają wilgotne rozpryski na kapocie, a ogniki prostują się jak głowy zaniepokojonych węży. Nad wszystkim snuje się zapach owoców i cygara, które dymi w miseczce ofiarnej.

– Czy to święty Piotr?

– Tak, ale i Papa Legba w jednej istocie.

Klucznik Niebieski, Ten Który Czuwa nad Domami. Patron miejsc spotkań i ogrodzeń, Pan Otwierający Drzwi pomiędzy Światami.

– Papa, wpuść Jana Zygmunta do Nieba!

Paulette chudnie podczas choroby męża tak samo, jak chudła na początku swoich ciąży. Ścisza coraz mocniej i mocniej tasiemki halek. Do utraty tchu. Boi się, że przy którymś ruchu zgubi luźne pantalony.

„Ruch” to słowo, które znalazło się w Jabłonnym Sadzie na indeksie, jak nigdyś „taniec”. Jedno bliskie drugiego. Pielęgnowując Jana, zafrasowana Paulette od czasu do czasu czuje na sobie jego zimny, nachmurzony wzrok. Wie, że ten mężczyzna, który kiedyś ją uratował, teraz bez skrępowań zabrałby jej życie. Coraz częściej dopada ją zgroza tak wielka, że zaczyna siwieć. Pasma bieli, wplecione we włosy jak panińska wstążka, dla Pauliny Walerii stanowi wątpliwą ozdobę. Kobieta przypomina sobie białe taśmy materiału zawieszane na drzewcach heroldów, którzy chcieli przedrzeć się przez linię ognia, i myśli smutno, że oto jej ciało się poddaje. Kapituluje.

Dwie dziewczynki. W pokoju łaźniowym o oknach zaklejonych ciemnym materiałem, przepuszczającym jednak przefiltrowane, mgliste słońce, które z każdego przedmiotu, każdej osoby wysysa ciężar, które uskrzydla, pozbawia cienia. Dziewczynki wyglądają jak wygłodzone aniołki. Aniołki na godzinę przed upadkiem, który sprawi, że gładka skóra wypełni się tłuszczem i porośnie włosami (a będą to włosy ciemne i sprężyste jak runo).

Stoją w balii. Same, bo służąca poszła z wiadrem po wodę do spłukania włosów. Bliźniaczki stoją wyprostowane i kurczowo trzymają się drewnianego brzegu, który sięga każdej pod brodę – są jednakiego

wzrostu. Czy ich dusze są takie same?

– Wolisz mamę czy tatę? – zagaduje jedna.

– Nie zadaje się takich pytań.

– Ale gdyby się zadawało?

– Mamę.

– Ja bardziej kocham tatę.

– Bóg nas za to ukarze. Powinnyśmy ich czcić równie mocno.

– Mnie już ukarał – mówi ta, która przyszła na świat, by osłodzić starość swego ojca. Gwałtownie kuca, aż woda przelewa się nad jej znikającą zamydloną głową i rozchlapuje po kamiennej podłodze, po pokrytym gęsią skórą ciele siostry.

Spodziewają się śmierci i śmierć przychodzi. Myli jednak drzwi. Myli ciała.

. . . .

Zmęczona cisza rozsnuwa się nad całym dworkiem jak mgła nad trzęsawiskiem. Można się w niej pogubić. Trafić do Czyścica i z powrotem. Z powrotem! Nie ma większej nieruchomości – bezwładu – niż nieruchomość martwych. A największa – bo jednak nasuwa się stopniowanie, nawet w ciemnej ostateczności – to nieruchomość martwej matki.

Osieroczone bliźniaczki, porzucone przez oniemiałych żałobników, weszły do sypialni, pośpiesznie obitej szlachetnym kirem, z zaślepienymi płótnem lustrami.

Nieboszczka jest młoda, a po śmierci jeszcze jakby odmłodziła. Siwe włosy zostały szesane i schowane. Ubrano ją w czarną suknię, jakby całkiem nedorzecznie miała nosić żałobę sama po sobie, zamiast pozostawić to innym. Dzieciom, mężowi... Jest komu, jednak to panny chowa się w Polsce w ślubnych sukienkach. Można dostać dreszczy.

Dziewczynki patrzą na matkę jak na dużą lalę. A później, zachłannie, zaczynają ją dotykać, głaskać. Wcześniej nigdy nie czuły, że może należeć do nich. Ta, która najbardziej kochała wciąż nieobecnego Teodora Floriana (list z czarną obwódką za dzień spadnie na niego jak polujący jastrząb, za jeden dzień), nie zdążyła się z nim pożegnać. Ale czy takie pożegnania mają sens? Dla kogo?

Bliźniaczka odpina z ozdobnego łańcuszka medalion inkrustowany masą perłową; następnie zapomniany klucz do zegara. Milcząc, podaje go siostrze. Później otwiera medalion: skręcony niemowlęcy lok – rudawy po ojcu – spada jak piórko na podłogę. Zręczny ruch trzewiczka wkopuje go pod łóżko.

Mała tnie pukiel włosów matki, ukrywa jak perłę w biżuterii. Cenny przedmiot, który powstał z bólu. Z bólu zadanego przez rzeczpospolitą – ziarnko piasku.

Bliźniaczka otwiera kluczem zegar, kluczem zatrzymuje wskazówki; palce przyciska do serca z mosiądzu. Stop. Oddycha z ulgą, wzdycha z satysfakcją, bo teraz wszystko już jest tak, jak być powinno. Jak należy.

. . . .

– Trzymaj się, żrebaczku – umierając, po raz ostatni użyła wobec sióstr liczby pojedynczej. Bo zrodzone były z jednej istoty: z Matki.

Nigdy nie pozostały z nią sam na sam nawet przez dziesięć minut – wyjąwszy te dziewięć miesięcy, kiedy we trzy, w harmonii, były jednym ciałem. Nie. Zawsze ktoś przeszkadzał.



Anna Konstancja

Jabłonny Sad, 1830 rok

„Rozważna” i „stateczna” Anna Konstancja rozgląda się po sercu Jabłonnego Sadu.

Okolica wygląda jak po śnieżycy – wczorajszy gwałtowny wiatr postrzącał z drzew wiele kwiatów. Nic nie szkodzi. W kwiaty są bogaci: na drzewach nadal pozostała taka ilość białych płatków, że aż dla umysłu nie do oszacowania. Zbyt wielka abstrakcja. Milion? Miliard? Ile to w ogóle jest ten milion?

Legion. Uwierzyć to zobaczyć.

Ten milion lub miliard płatków w parę tygodni przepoczwarza się w jabłka. Początkowo są małe i kwaśne – sok z trudem tryska pod naciskiem atakujących zębów. To ulubione owoce panny Anny Konstancji. Później pojawiają się malinówki, antonówki. Żółto-czerwone mekintosze smakujące jak gruszki. Dalej przyciągające owady jabłuszka do pieczenia. Na końcu: szare renety, pachnące popiołem z jesiennych ognisk, rozmieszonym w winie. Obecnie jest wiosna, a Anna Konstancja ma lat dwadzieścia. Jeszcze się nie domyśla, że to swoiste ukoronowanie wieku młodzieńczego. Że czarnoziem, po którym stąpa, to pozłota Jabłka Królewskiego – Ziemi. Dziewczyna jest krzyżykiem umieszczonym na wierzchu...

Pomyśleć, że mogłaby nie istnieć, pożarta w łonie matki przez siostrę bliźniaczkę. Albo sama mogła pożreć. Jednak jest. Stoi, z białymi

kwiatami we włosach, przyniesionymi przez wiatr. Jutro będzie tylko postacią z książki. Zaciemnieniem na lustrze, które jest pretekstem dla pamięci.

Anna Konstancja trzyma jeszcze jabłka z zeszłego roku: suszone, nanizane na sznurki w wędzarni i na oknach. Obłożone słomą w piwnicy. Fermentujące w butlach okrytych gazą, gdzie „oddychają” bąbelkami – płyną na powierzchnię, trącane gazem obracają się wokół własnej osi niczym nienarodzone dzieci.

Anna Konstancja chroni je przed szkodnikami. Robaki, ślimaki, szpaki trzymają się z daleka. Owoce zachwycają pięknym wyglądem.

– Jabłka Sodomy – Teodor Florian, w tym samym miejscu, gdzie ona teraz stoi, cytował zeszłej jesieni Józefa Flawiusza. – Będą miały popiół zamiast miększu.

– Kłamiesz.

– To nie ja... Czy życie nie sprawia ci zawodu, Anno?

– Nie dopuszczam do tego.

– Piękne pozory. Jesteś bardziej podobna do mnie, niż chciałabyś przyznać. Matka powinna wiązać kokardki tobie i mnie. Tobie i mnie.

– Przestań.

– A dlaczego on nie miałby przestać – spogląda wymownie w okno dworku. Tam gdzie sypialnia ojca.

Jako mała dziewczynka Anna Konstancja wciąż śniła jeden sen. Był zły, groźny, dlatego pozostał jej wstydliwą tajemnicą.

Ona i matka biegną szeroką ścieżką, wydeptaną w ciele sadu przez zbieraczy. Jest bardzo chłodno, jak zwykle przed świtem. Z łatwością przychodzi śpiącej określić porę dnia, ale już nie porę roku. Biel kładąca się na gruncie może zmylić. Biel śniegu? Biel kwiatów? Do ilu lat musi dorosnąć dziewczynka, żeby nauczyć się, że kwiaty nie zawsze są czerwone. By pojąć, dlaczego te róże wyhodowane przez Józefinę Bonaparte miały kolor herbaty?

Biegnące są przerażone. Uciekinierki. Jedna istnieje dla drugiej, jedna drugą podtrzymuje. Ręce ślizgają się w uścisku, mokre od potu.

„Szybciej, mamó!”

Goni je potwór, cały z kamienia. Jego dudniące kroki zagłuszają śpiew ptaków, wzbijający się w niebo co rano.

(Śniąca czuje w tym momencie bolesne, nerwowe parcie na pęcherz. Możliwe, że się zmoczy).

Goni je Jan Zygmunt, tata, mąż.

I jest coraz bliżej. Może dłońmi – niezgrabnymi, ubranymi w sztywną, zbyt wielką rękawiczkę – dotknąć włosów małych kobiet.

Ojciec skamieniał w jakimś sensie naprawdę. Leży rozciągnięty od zagłowania łóżka do wałka ułożonego w stopach, z zapadniętym materacem pod chudymi pośladkami. Co kwartał, może co pół roku podsuwa się wałek nieco do przodu. Ojciec kurczy się, znika. Gaśnie powoli, stygnącym ciałem zgniatając na drodze włosie materaca, aż zrobi się kolejna niecka. Aż do tej ostatniej na grobie – nigdy nie starcza wykopanej ziemi do zasypania dołu...

To wszystko nieprawda! Anna Konstancja zarzuca, kręci głową, próbując przepłoszyć niewygodne myśli.

Ojciec jest nieśmiertelny. A przynajmniej pozostanie taki, dopóki w Annie Konstancji będzie budził lęk. Lęk czysty i pierwotny – ten, który niewidzialny na jawie, obrasta ciałem we śnie. I to ciałem nie byle jakim.

Słysząc donośne szczekanie psów. Idą ze sobą na jazgot w zawody. Oznacza to, że Tituba je karmi. Stare psy i wnuki psów, których nie ma już na świecie. Molosy oraz zwyczajne wiejskie kundle, o których istnieniu w swej hodowlanej sforcie Jan Zygmunt nie ma pojęcia. Z psami nie jest tak łatwo, nie można rozpoznać rasy po wymowie. Burek z Hektorem szczekają tak samo na widok krwawego ochłapu nabitego na drąg. To jedyne zwierzęta w pełni demokratyczne, nawet jeżeli ludzie myśleli inaczej. Nawet jeśli jej ojciec sądził co innego. Bystro krzyżują się ze sobą.

Psy muszą czekać głośno, by hałas dobiegał do uchylonego okna dziedzica. Musi wiedzieć, czuć, że pomimo jego choroby rzeczy w Jabłonnym Sadzie pozostały na miejscu.

Jabłka Sodomy na szczytach nadłamanych gałęzi.

Istnieje pewien rytuał. Tituba hoduje tytoń dla swoich świętych i własnej podopiecznej, Anny Konstancji. Skręca z niego jakieś cygarowo-papierosowe hybrydy. Ręce jej się nie pocą, nie zwija liści na mokrych udach. Krzywe pałeczki, które powstają, pachną jabłkami.

Codziennie Anna Konstancja bierze z orzechowej szkatułki jednego papierosa i kryjąc go w kieszeni fartucha, niesie do ogrodu. Ta chwila smakuje najlepiej, bo wydaje się skradziona z tego czasu i tego miejsca. Nie ma nikogo, kto mógłby wygłosić kazanie, że palenie należy do spisu czynności, które panienkom nie przystoją. Ona nie czuje się „panienką”, w ogóle się nie czuje. Znajduje wyzwolenie w tym zawrocie głowy, który następuje po skrzesaniu zapalniczki. Lekka jak piórko z oberwaną dudką, bo była nań krew. Kładzie się na plecach, patrząc w chmury, które wiatr goni po niebie. Wkrótce będzie pomiędzy nimi. Zbiera się na burzę.

Bawi się dymem, wciąga go ustami, wypuszcza nosem. W nozdrzach pełno ciemnobrązowej, żółknącej na opuszkach palców tytoniowej smółki. Anna Konstancja jest senna. Ma kondycję zakonnicy niedospanej po jutrzni, czuwaniach, niesporach. Dym drapie jej gardło. Z dnia na dzień coraz bardziej kaszle. Zszarzała skóra otwiera jej się na twarzy. Mruży oczy podrażnione dymem, aż zyskują oprawę kurzych łapek. Albo indyczych pazurów. Blaknące ptasie korale impulsem pojawiają się w pamięci. Wszystko to pokuta, umartwianie się Anny Konstancji, niosące przyjemność i swobodę. Zjawisko znane rasowej zakonnicy. Znane jej samej.

Im bardziej papieros kurczy się, spala, tym mocniej narasta pieczenie na języku. Anna Konstancja napawa się dymem. Poprzez kichnięcie, poprzez kaszel. Intensywny smak: jak czerniny albo lodów, w dzieciństwie. „Przyjemność” się powtarza.

Leży już z zamkniętymi oczyma i oczekuje chłodnych kropli deszczu na powiekach. Czasem to pragnienie się spełnia. Niekiedy suche dwudziestoletnie ciało znajduje się nagle pośrodku wiatru i burzy, które zgodnie układają na ciemnej głowie dziewiczy wianek z oberwanych liści.

Zimą też pali: ukradkiem, w kuchni. Ta pora roku wszystko zmienia w bardziej ukradkowe. Życie w żywą śmierć...

– Twoja matka też lubiła palić – wspominając, Tituba będzie rozpuszczać łój w garnku. Ale nie teraz, w zasadzie poprzednia zima dopiero co się zakończyła. Rozpoczął się czas wiosennych burz. Krople rozbijają się na twarzy. Rozbijają ziemię, tworząc w niej małe zalane

kratery. Anna Konstancja musi wstać, wrócić do dworu, zatrzasnąć okno w pokoju ojca. Zamknąć je na haczyk.

Czuje, że język ma spieczony, gorzki, kiedy musnąć podniebienie. Język rośnie w ustach, tkwi w gardle jak kołek.

Dzień po dniu zwleka się z łóżka pierwsza w całym dworze. Szybko się ubiera. Przeskakuje po dwa stopnie i już stoi za drzwiami ojca.

– Szczęść Boże.

Wita ją spojrzenie czerwonych, podpuchniętych oczu. Znowu nie spał przez całą noc. Ona swoje śnienie traktuje jak grzech i dlatego tak się śpieszy, aby rozpocząć dzień.

Całuje pożyłkowane, suche policzki. Ojciec mruga. Podaje mu nocnik.

Obraca się twarzą do różowiejącego okna. By zagłuszyć dźwięk płynu na porcelanowych ściankach, opowiada wszystko, co jej na myśl przyjdzie. Relacjonuje – słowami z gazety – demonstrację kobiet walczących o swoje prawa w odległej Ameryce. Jakże odległej od Jabłonnegu Sadu, tego ziarnka piasku na mapie świata. Wspomina Sophie Blanchard, cesarską aeronautkę, której balon rozbił się na dachu paryskiego domu w 1819. Zapalił się korpus rakiety, załadowanej sztucznymi ogniami, które bohaterka miała wypuścić nad Tivoli.

– Pamiętasz, ojcze?

Cisza. Teraz Anna Konstancja wie, że już może się odwrócić.

Goli go. Kiedy był zdrowy, robił to sam; w dodatku dwa razy na dzień. Dziś już nie ma takiej potrzeby. Budzi się coraz gładszy. Anna Konstancja widzi, jak wytarły mu się włosy na nadgarstkach, kłykciach. Palce ma opuchnięte, bezkształtne, a jednak wisi na nim nadmiar skóry, przypominającej stary pergamin albo worek na kości.

Goli go. Przez poranki, które idą w lata, nabrała w tym wprawy. Dobra Córka. Kiedy już zostaną zmyte mydliny, ojciec nie zapyta o lusterko. Wierzy jej oczom, siwym jak własne. Grudka mydła utknęła mu pod nosem, w osobliwej złośliwości Anna Konstancja postanawia ją tam zostawić.

– Jestem stary – mówi ojciec.

– Nie, to nie jest, ojcze, prawda.

Przeciera mu tors, piersi, pachy wilgotną gąbką. Raz na miesiąc Tituba wnosi na piętro ceber wody. We dwie przekładają na wpół sparaliżowanego na staroświeckie krzesło, z dębowymi oparciami. Rozbierają go, przywiązują wiotkie ręce, ramiona do tych oparc i myją ciało. Anna Konstancja do pępka, Tituba niżej. Kiedy kończą zasapanie, on, siedząc, już śpi.

Józefina Maria odmówiła wszelkiej pomocy i trwa w uporze, bardziej zacięta niż Murzynka. Anna Konstancja ma ochotę zdzielić ją w twarz. Zamiast tego płucze usta miętą, by zabić zapach tytoniu. Zmienia kolczyki, wkłada suknię tamtej. Gra. Nabiera powietrza w płuca, a kiedy je wypuszcza, jest już Ukochaną Dziewczynką. Oczkiem w Głowie Tatusia. Rozciąga usta w uśmiechu, porusza zmęczonym ciałem, jakby chciała odzyskać wspólną dla bliźniaczek lekkość. Ćwierka i się śmieje. Anna Konstancja skrapia się jeszcze perfumami siostry i oto następuje dopełnienie. Delikatna, urocza Józefina Maria może już nawiedzić ojca, przepłaszając chmury, które gromadzą się nad jego łóżem boleści: tu spoczywa smutek.

W pierwszy poranek po pogrzebie Paulette znalazły go na podłodze.

– O Boże, biedak upadł!

Z pochyloną głową, podwiniętymi nogami siedzi oparty plecami o brzeg łóżka. Zsunął się. Pierwszy poranek uświadomionej bezradności. To, co może wzruszać, może też wściekać.

Układają Jana Zygmunta z powrotem na poduszkach.

– Nie mam noża, żeby się zabić, to się zagłodzę – oznajmia chrapliwie. W końcu jednak daje się przekonać do jedzenia i żyje. Najbardziej lubi gotowane jabłka. W ogóle trzon mierności, który spożywa, stanowią te owoce. Suszone, smażone, w kompocie, jabłecznik, ciasto... Anna Konstancja karmi go łyżeczką, jak chłopca. Tu nigdy nie jest brutalna.

Na początku choroby Tituba z Teodorem Florianem (który przyjeżdżał na ferie) próbowali go prowadzić na spacer, sam się tego domagał. Krótkotrwałe. Noga nie chciała podążać za nogą. Serce łomotało, jakby za chwilę miało wyskoczyć z piersi... Służąca i syn prawie go nieśli, szarpiąc za pachy. On sam wziął się z Losem za bary

i przegrał. Wciąż przegrywa: w każdej minucie, w której leży wyciągnięty jak drewniany świętek. Annę Konstancję to smuci najbardziej – kiedy żołnierz przegrywa.

Wchodzi do pokoju i nie poznaje ojca. Choroba się posuwa. Dziewczyna szykuje się na ten dzień, kiedy nocnik przestanie wystarczać, a ona weźmie się do obrębiania pieluch. Zrobi to tą samą nicią, którą szyje sobie podpaski, od 1821 roku.

. . . .

Anna Konstancja rozciąga się na soczystej trawie. Pali. Rozluźniona, prawie na granicy transu. Świat wokół wiruje, a ona zaczyna słyszeć muzykę – tak jak owady, tak jak ptaki, drzewa – preludium, to jakiś stary, królewski taniec na zgrzybiałe instrumenty, który usłyszała na pierwszym balu (jedynym zresztą, na jaki poszła. W oświetlonych kandelabrami salach godnie zastępuje ją siostra... Jest to pewien rodzaj interesu i układu: ja tu, ty tam za mnie et cetera). Wkrótce muzyka się zmienia: wysoko pociągnięta piosenka młodocianych chłopek, szykujących się do poszukiwania wioskowych kawalerów.

„Nasz maik zielony
pięknie ustrojony,
co go ustroiły,
co go umaiły
nadobne dziewczeczki”.

Cała ich koegzystencja ogranicza się – z pozoru – do szeptanych poleceń i cichego ich wypełniania.

– Pomasuj mi ręce.

Anna Konstancja sięga po słoiczek kremu. Nabiera maż na palec i dokładnie rozsmarowuje ją na ciele ojca. To namaszczenie. Rzecz śmiertelnie poważna. Zaczyna od kielicha dłoni, cofa się do długich jak na mężczyznę paznokci, masażem wspina się po łokcie. Skóra jest sucha i chłodna. Annie Konstancji nie przychodzi na myśl żadne zwierzę, które miałyby podobną. Z własnej inicjatywy odrzuca róg pierzyny i pochyla się nad stopami białymi jak marmur. Zakurzonymi przez własny naskórek. Wzruszają ją te węzłowate stopy, kościste golenie... Nie budzą wstrętu. Mogłaby napełnić sobie nimi usta, otrzeć ze śliny kłębem

włosów. Kiedy była dzieckiem, a ojciec w żartach prosił o taką pieśczętę, odwracała się z oburzeniem. Tyle rzeczy minęło nie wiadomo kiedy.

– Idź już.

– Jak chcesz, ojcie – trzyma dłonie z daleka od siebie, by nie potłuścić spódnicy. Zatyka ostrożnie słoik.

– Idź już, na co czekasz?

Ich oczy spotykają się ponad łuszczącym się życiem. Te bledsze, jakby wypłowiałe, wilgotnieją i jakiś naturalny diament zbiera się w zagłębieniu, przy nasadzie nosa.

– Prześpij się trochę – szybko, ze strachem i wstydem, całuje ciało, które poddano jej opiece.

Wyobraźmy sobie Annę Konstancję jako małą dziewczynkę, która ostrożnie stąpa po schodach, nie chcąc uronić ani kropli wody z fajansowej misy. Przez chude ramię przerzucony ma pas, o kość biodrową uwiera trzonek naostrzonej brzytwy, którą wcisnęła do kieszeni. Wzdycha cichutko, naśladując kobietę, której nigdy nie poznała i której nigdy nie będzie.

Stopą popycha drzwi. Otwierają się cicho. Ojciec jeszcze śpi. Przez sen mruży brwi, coś tam mamrocze. Córka odstawia cicho miskę na stolik. Będzie tak stać i czekać, aż ojciec się obudzi. Niedługo. Jakby się wyczuwali ponadmysłowo. On wie, kiedy ona pochyła się nad jego snem, ona – kiedy jest potrzebna.

Oprócz tego, że jest pielęgniarką w tamtej chwili, pozostaje też małą dziewczynką. Nudzi się. Patrzy na małe kamienne popiersie Napoleona – jeszcze go nie wywieziono. Patrzy na marmurową maskę, a później w żywą twarz, poruszaną grymasem. Nie widzi żadnego podobieństwa. Jak to się stało, że drogi tych mężczyzn zostały tak mocno splecione. Silniej niż więzy małżeństwa: „w zdrowiu i chorobie”, „i nie opuszczę cię aż do śmierci... ani potem”. Taka miłość wymaga ofiar.

Anna Konstancja spogląda na budzącego się i w duchu zadaje mu pytanie:

„Ilu zabiłeś dla cesarza?”

Ojciec, którego zna, nienawidzi wojny. Jeszcze jeden stygmat

starego żołnierza.

. . . .

Kiedy po raz pierwszy wpuszczają dzieci po ataku apopleksji, Jan Zygmunt na chybił trafił sięga po dłoń stojącej najbliżej Anny Konstancji i długo, mocno ją ściska. Czerpiąc z jej świeżości, dodaje sobie odwagi.

Dziecku także, ale dużo później, bo teraz mała drży ze strachu. Gdzie jest jej tato? Co się stało z tatą? Łzy jak zwykle odległej matki niczego nie wyjaśniają.

– Wszystko będzie dobrze – mówi Anna Konstancja.

– Jak się dzisiaj czujesz, ojcze?

– Lepiej.

– Jak się dzisiaj czuje tatuś? – pyta Annę Konstancję Józefina Maria.

– Bez zmian – tamta odpowiada.

– Biedny tata!

Kiedy następnym razem myją go z Titubą, Anna Konstancja nie potrafi się powstrzymać i zerka na ojcowskiego penisa. Malutki, jakby i on doświadczał wycieńczającej choroby, bezwładnie poleguje na udzie.

„I tym mnie stworzono? I to zdecydowało o moim byciu czy niebyciu?” Młoda kobieta nie może się nadziwić.

„Czy tak wyglądają wszyscy mężczyźni?” – zadaje pytanie dziewczicy.

Kiedy może, wychodzi na spacer, poza ogród, poza obowiązek. Chadza drogami, które nie zmieniły się od dzieciństwa. Ten sam pył na twarzy, kamienie, światło. Maszeruje w tym pyłe bez słomki, którą Napoleon kazał zaciskać w ustach legionistom, by nie nałykali się zdradliwego piachu na obczyźnie.

Idzie, jak na panienkę z dworku przystało: dobrze urodzona, więc wyprostowana i z jasną budką na głowie, która chroni jej mleczną karnację. Jakaś przechodząca kobiecina dygnie przed nią, ktoś z wozu ją pozdrowi, jednak chłopcy pracujący w polu nie przerywają pracy na jej widok. Kiedyś nie byłoby to możliwe. Kiedyś Jabłonny Sad dzierżył moc i bogactwo, teraz dwór gwałtownie podupada. I wszyscy to czują.

Do atmosfery ulatnia się nieopłacalny szacunek, niepotrzebny strach, i znika w niebie. Anna Konstancja, szlachcianka, postanawia żyć po swojemu. Z tego powodu coraz częściej ponuro się zamyśla.

– *Madame?* – Pada na nią cień konia.

Odskakuje gwałtownie, kurząc sobie brzeg spódnicy.

– Przestraszyłem panią. Proszę mi wybaczyć – mówi jeździec.

– *Mademoiselle* – poprawia go odruchowo dziewczyna.

– Mlle Jabłońska? – pyta i natychmiast, czując, że popełnia kolejne dworskie faux pas, dodaje: – Jestem Jerzy Zacharski. Sąsiad.

Zsiada z konia. Strzela obcasami, a później łapie za uzdę.

– Nie widywałam pana – Anna Konstancja odzywa się do młodego mężczyzny, próbując ukryć w głosie zaciekawienie, które ten w niej budzi. W tym momencie owiewa ich świeży wiatr, co ona bierze za znak nieuchronnie nadchodzących zmian. Oddycha pełną piersią.

– Zefir – mówi pan Jerzy, jakby czytając w jej myślach. – Byłem dość długo za granicą.

– W szkole?

– Raczej na emigracji.

– Nasz ojciec też nie posłał dziewcząt na pensję. Za to mój brat wciąż pozostaje w Warszawie.

– Pamiętam panią, kiedy była dzieckiem. Obserwowałem waszą ławkę w kościele.

– Mógł mnie pan pomylić z siostrą. Nawet matka nas nie rozróżniała. Nosiliśmy kolorowe wstążki wokół nadgarstków.

– Och, to na pewno pani mnie zachęcała – posuwa się nieco za daleko i jest w tym uroczy. – Wszędzie bym rozpoznał...

– Jestem Anna Konstancja Jabłońska – twarz ma czerwoną, mokrą od potu. Serce czuje w gardle. Więc to jest to? – Ale...

– Słucham?

– Nic, nic. Niestety, muszę już pana przeprosić.

Mężczyzna skłania głowę, wspina się na wierzchowca, odjeżdża. Jego sylwetka, umalowana w złocie, bieli, czerwieni pasa, zdaje się lśnić.

– Panie Zacharski – Anna Konstancja krzyczy za nim. – Proszę nie zostawiać mnie samej!

Nareszcie, jako dojrzałe panny, mają osobne pokoje. Józefina Maria pozostała w dziecięcej sypialni, Anna Konstancja przeniosła się do pokoju matki. Ot tak, po prostu i naturalnie.

Na ścianie pokoju Anny wisi obraz z karmiącą Bożą Rodzicielką oraz ikona, srebrne ubranko pokrywa patyna; na stoliku stoi podobizna świętego Antoniego, patrona rzeczy beznadziejnych. Obraz i rzeźba nie robią na młodej kobiecie większego wrażenia – co innego wspaniały ruski wizerunek młodego Jezusa. Twarz o wielkich czarnych oczach w kształcie egzotycznego migdała, które zdają się śledzić każdy jej krok. Obserwują ją bez względu na to, z którego kąta nań popatrzy. Jezus Chrystus jest mężczyzną – rada by była o tym zapomnieć.

Nie wierzy w świętych. Czasami – w gorsze dni – niewiara ta dotyka postaci Boga. Zwykle Anna Konstancja uważa, że On uczynił świat i wszelkie żywe stworzenie, a później umył ręce. Gestem Piłata. Kobieta nikomu nie zwierza się z tego „błuźnierstwa”, które wydaje się jej mocno nie na miejscu w Jabłonnym Sadzie. Jeszcze w takim czasie. Odpycha więc jedną iluzję, by podeprzeć się drugą.

Jezus Chrystus z ikony wydaje jej się materialny. Bierze go za rówieśnika – jeszcze nie Mesjasz, raczej uduchowiony pomocnik cieśli. Jego jakby to oswaja, za to na nią przychodzi oszołomienie.

Po niespokojnej nocy, u bram świtu siada na łóżku, zapala świeczkę. Jest złana potem. Wilgotna i rozdygotana. Wlewa wodę z dzbana do miski, sięga po myjkę. Wszystko to, by zmyć z siebie sen, który nie popuszcza jej ciała, trzyma je w kleszczach nawet na zakazanej jawie.

Przemywa twarz i szyję. Mokry koniec warkocza, mokre rękawy koszuli – prostuje się nad marmurowym blatem toaletki i zakłada je za łokcie. Wciąż się ochlapuje. Podnosi oczy, patrząc w przestrzeń, sięga pomiędzy nogi, wilgotna plama na zakasanej koszuli. Wraca, by znowu polać rozgrzany kark, i tak tam i z powrotem, w nieświadomym natręctwie. Woda spływa jej po plecach, przylepiając cienkie płótno do sterczących, ptasich łopatek. Zimno. Czuje, że jej język nagle porasta bajkowym mchem.

Ściąga koszulę nocną. Nagie ciało, które – nie potrafi ukryć tego nawet sama przed sobą – marnuje się w celi, w jaką przeobraził się cały

dwór. To ciało krzyczy po swojemu, po swojemu się domaga.

Patrzy w podkrążone oczy Naszego Zbawiciela, pod długimi łagodnymi łukami brwi, sięgającymi od nasady nosa do skroni, później zarzuca wilgotną koszulę na ikonę, tak że całkowicie ją zakrywa. Wraca do kąpieli.

Otworzyła oczy, a wokół była taka czerń, jakby pozostawały zamknięte.

Znowu zakłada maskę.

Ojciec w gorączce, śpi głęboko. Bardzo schudł ostatnio, wskutek choroby odzyskał ciało chłopca. Białej skórze słabość nadała złudzenie młodości.

Przez twarz ojca przebiega drganie, brwi to marszczą się, to podnoszą w górę, niczym skrzydła ptaka przygotowanego do odlotu; wydaje się, że z kimś rozmawia w swoim głębokim śnie. Do jego tajemnic Anna Konstancja nie zostanie dopuszczona. Ta sama Anna Konstancja, która w identyczny sposób marszczy się, śpiąc. Krew z krwi mojej, kość z kości mojej, sen ze snu mego...

Starca trawi wysoka gorączka. Przerazająca.

– Nie ma chleba? – pyta chory w malignie. – Dajcie mi okrycie, bo idę do nieba.

Anna Konstancja żałuje gorzko, że w piwnicy nie została nawet bryłka lodu. Rozbiłaby ją, po trochu zawijała w ściereczki, mocowała ojcu na brzuchu, by osłabić palący go żar, bo życie musi wypalić się do końca.

Powieki leżącego drgają, budzi się. W końcu otwiera oczy. Widać, że spojrzenie ma pogubione, nic w tym dziwnego: właśnie wrócił z długiej podróży. Podejmuje wysiłek koncentracji, próbuje skupić wzrok na twarzy tej pielęgniarce, która się nad nim pochyla.

Anna Konstancja domyśla się, że jej nie poznaje. Mogłaby być każdą: dawną kochanką, żoną, najpewniej matką.

– Tato, to ja – mówi. – To ja, Józefina Maria – kłamie.

– Ja umieram – mamrocze to albo coś równie ostatecznego i trudnego do przyjęcia. Córka udaje, że nie słyszy, mężczyzna już zdążył pożałować swoich szczerych słów.

Florian wraca ze szkół, z Warszawy. To dwudziestodziewięcioletni

mężczyzna, w pełni sił. Dziedzic dziedzica. Nie wezwały go, przybył sam. Sprytnemu i inteligentnemu wystarczyła godzina, by rozejrzeć się po dworze, wszystko ocenić. To i owo zostawić dla siebie, czymś innym obrzucić jak kamieniem. Ucałować rękę ojca:

– Wyglądasz lepiej niż ostatnim razem.

Stary nie potrafi ukryć radości na jego widok. Córek nie rozumiał, a w szczególności jednej: Anny Konstancji. To ona właśnie nie wita brata na ganku. Nie ma jej: poszła na spacer. Kiedy wraca, widzi w salonie Teodora Floriana i Józefinę Marię, upozowanych jak rodzina na biedermeierowskim portrecie.

– Co to? – pyta brat, wskazując jasną plamkę na jej białej sukni.

Wspólne spacerowanie weszły im w krew, można by rzec, że serca poczęły bić w jednym rytmie. Ten i ów napomyka o zapowiedziach, a oni śmieją się, kładąc palce na ustach. „Z miłości nie wolno się śmiać”, mówi czasem młodym sprana, niemal przezroczyta hrabina Wąsowska. To siostra babki Jerzego. Jedyna, jaka poza nim pozostała z tej rodziny. Próchniejąca gałąź i młody liść.

Anna Konstancja boi się prosić Jerzego do swojego dworku, boi się, że siostra go jej odbierze, ale nie zdradza się z tym sekretnym przecuciem. Woli mówić, że odosobnienie wymusza choroba ojca.

– Chciałbym go poznać.

– Tak, wiem.

– A twój brat? Czy nie powinienem porozmawiać z twoim bratem?

– Przyznać mu się, że chadzasz ze mną bez przyzwoitki?

– Anno, jaka ty jesteś pragmatyczna! Matka Najświętszej Pani musiała być taka.

– Cii... Nie psuj tego – rumieni się na wzmiankę o cudzym macierzyństwie, a później opanowuje ją złość, kiedy myśli o własnej matce, która ją tak „zdradziecko” opuściła. Dlaczego nie walczyła ze śmiercią? Dlaczego nie próbowała chociaż z nią zatańczyć?

– Uchodząc z Moskwy, napoleonidzi odnaleźli pośród poległych pod Borodino żywego grenadiera. Miał oberwane nogi, ale jakoś zatamował krwotok. Półtora miesiąca żywił się końskim ściernem i zanieczyszczoną wodą.

– Ojca już wtedy dawno nie było z Napoleonem – mówi Anna

Konstancja, jednocześnie zastanawiając się, jakąż to substancja płynąca w krwi mężczyzn sprawia, że tak różnią się oni od kobiet.

Serca biją przecież w jednym rytmie.

Przy miejscu, gdzie niegdyś była glinianka, a teraz w największe upały pokładają się wiejskie psy, zaczepia ich obdarta dziewczynka.

– Jak masz na imię?

– Marta.

– Tylko Marta?

– Ojciec mówi: mała księżniczka.

– Weź to, mała księżniczko, i kup sobie cukru – rzecze Jerzy, przesypując w brudną dłoń garść monet. Obdarowana przygląda się im uważnie. Trąca palcem drugiej ręki największą.

– To samiec – mówi z powagą.

Oddalają się. Anna Konstancja gryzie koniec czarnego panieńskiego warkocza. To ulubione uczesanie Jerzego. Anna Konstancja ma wrażenie, że zna Zacharskiego już ze sto lat.

– Anno, nie jesteś świętą.

– Co?!

– Żyj. Nie zamykaj się w klasztorze obcej starości.

– Przecież przyszłam do ciebie.

– Dobrze, że nie poczytujesz sobie tego za grzech.

– Nie wierzę w grzechy.

– Więc w co?

Wzrusza ramionami, a jednak dodaje:

– W oddech.

– Oddychajmy więc razem – zbliża usta do jej ust. – Pachniesz spalenizną...

– Och! – Anna Konstancja obiecuje sobie, że już nigdy nie zapali machorki Tituby.

– A ty drzewem. Żywicą.

Na niebie zarysowuje się tęcza, która według legend ma prowadzić wprost do Piekła. Ewentualnie służy jako pomost między światem żywych i umarłych. „Nie było cię. Jesteś. Nie będzie cię”, myśli Anna Konstancja. Nie czuje nic. Nawet miękkich kropel odchodzącego, drobnego deszczu. Burza minęła. Piorun o włos ominął chłopską chatę

i uderzył w rosnące obok drzewo, podpalając je jak suchą drzazgę. Bogu niech będą dzięki! Nikt się nie śmieje. Sąsiedzi w łapciach rozchodzą się – przybiegli, by pomóc, a przy okazji popatrzeć na pogorzalców.

Na drzewie – bocianie gniazdo. Bocianica krąży wokół niego, nie zważając na węże płomieni pełzające po pniu, próbuje wydrzeć z żywiołu swoje dzieci. Z ognia do powietrza. Krzyczy i rzuca się do palącego gniazda.

Cisza. Jerzy Zacharski płacze. Anna Konstancja udaje, że tego nie widzi, tak jak zamyka oczy na łzy ojca. Później pyta:

– Wierzysz w to, że zwierzęta nie mają duszy?

– Słucham? – Pauza. – Nie, oczywiście, że nie. Czymże one różnią się od nas?

– Rosjanie to świnie! – gorączkuje się Teodor Florian. – A car Mikołaj największe bydło! On i brat Konstancy, dwa azjatyckie bydła.

– Przestań. Męczysz ojca – prosi Anna.

– Wiecie, o ile wzrosła liczba aresztowań? Panie ojcze! Zabierają naszych i kula w pierś, a tych, którym życie ma być darowane – prychna – też ustawia się pod murem, z zawiązanymi oczami, a kiedy czekają na ostateczną salwę, przychodzi rozkaz ulaskawienia... Tak chcą sobie nas wymusztrować: śmiercią. Ale my, Polacy, śmierci się nie boimy! Wojna! Tak! Niedługo wojna wybuchnie, a najpierw rozgnieciemy tę pijawkę, która się rozsiadła w Belwederze!

– Ojciec jest zmęczony.

– Oczekuję od ojca błogosławieństwa. Przynieś pióro i kartkę, jeśli nie może mówić. Anno!

– Dosyć – przykrywa ojca pod brodę, choć dzień jest jeszcze ciepły. Starzec drży. – Porozmawiamy o tym później.

– Zamieszki na zachodzie! Carat zamierza przyjść z pomocą swoim absolutystycznym sojusznikom, używając do tego polskiego wojska.

Jan Zygmunt prosi gestem o wodę.

– Skoro jesteś, to pomóż mi – mówi dziewczyna do brata. Ten w butach wskakuje na łóżko i podpira ojcowskie plecy. Anna Konstancja przykłada choremu szklankę do ust, jednocześnie przytrzymując drżącą brodę. On krztusi się potężnie, charczy, na woskową twarz występują purpurowe plamy. Zapadnięte policzki całe są

pokryte siecią krwiaków.

– Ostatnio cały czas mu się to zdarza – choć stara się tego uniknąć, Anna Konstancja łapie się na tym, że mówi o ojcu przy bracie jak o kimś nieobecnym. Zagubionym w chorobie. Ty głupia dziewczyno! Tylko Tituba wie, że od tygodni zmienia mu pieluchy.

Ojciec z zapomnianą siłą ściska gorące palce córki. Ona pochyla się ku bladym ustom, jego oddech nie pachnie już chorobą ani w ogóle niczym. To powietrze, jakie można znaleźć w niebie. Eter.

– „Nie pozwalam” – powtarza za niewyraźnym szeptem.

– Co pan ojciec powiedział? – Teodor Florian nerwowo bawi się łańcuszkiem zegarka. W gniewie jest podobny do matki.

Serce starego uderza jak bęben z psiej skóry. Dziwaczny, cudem podtrzymywany dźwięk.

– Wojna to zło.

– Myślałem, że chociaż on mnie zrozumie – żali się Florian, kiedy Anna ostrożnie zamyka za nimi drzwi.

– I zrozumiał – mówi Tituba, która kręci się po korytarzu cicho jak kot.

– Podśluchiwałaś.

– Jan Zygmunt panicza zrozumiał. Aż za dobrze...

– Na co ta czarna sobie pozwala!

– Zmieniała tobie pieluchy, a teraz pomaga przy ojcu – odzywa się Anna Konstancja.

– Skończ z tą maskaradą! – krzyczy Teodor Florian, kiedy przyłapuje siostrę na tym, jak przebiera się w stroje Józefiny Marii, zakłada jej kolczyki, bierze perfumy.

– Nie mogę.

– No... Porozmawiam z nią.

Jerzy z Anną Konstancją trzymają się za ręce. Mocno.

Kiedy droga ginie pośród krzewów, połaci lasów, młoda kobieta zręcznie odchyła się do tyłu, tak że pomiędzy ciałem a pancerzem stanika tworzy się szpara, w którą mężczyzna może wcisnąć gorące palce...

W uścisku zbielały kłykcie, a purpura rozlała się na policzkach – kiedy z naprzeciwka wyjeżdża fikuśna berlinka. Nieśpiesznie podjeżdża.

– Hrabio Zacharski, jeżeli w jakikolwiek sposób uchybiłeś cnocie mojej siostry, to wyzywam cię na pojedynek – mówi Teodor Florian. Obok niego siedzi Józefina Maria z uśmiechem nieodgadniętym jak u kota.

– Florian, jak śmiesz... Jak śmiesz mnie tak znieważać! – krzyczy Anna Konstancja, wzburzona szuka odruchowo znajomej dłoni, ale natrafia na pustkę.

– Ubolewam, że spotykam się z Panem, hrabio Jabłoński, w takich nieznośnych okolicznościach. Trzeba to było wcześniej samemu zaaranżować. Najwyższa pora...

– Do skruchy? – dźwięczy głosik Józefiny Marii.

– Nie. Najwyższa pora, bym u ojca i brata starał się o rękę panienki Jabłońskiej.

– Nasz ojciec jest obłożnie chory. Rządzimy same sobie.

– Najwyższy więc czas, by i to ukrócić – wtrąca stanowczo Teodor.

– Najwyższy czas! Najwyższa pora! – zwykle chłodna Anna prawie krzyczy. – A co z twoją wojną?!

– Ważne jest, by nie wybuchła ani za wcześnie, ani za późno. Prawda, panie Jerzy? – Jabłoński odnajduje w obcym mężczyźnie ewentualnego sojusznika. – Myszy harcują, kiedy kota nie czują – wskazuje Annie Konstancji ciasne miejsce w berlince. – Zapraszam na wieczór do dworu.

– Przyjmuję – schyla głowę Jerzy.

Wyborna madera lśni w kieliszkach, a kiedy Tituba zgodnie z żądaniem młodego dziedzica przyciemnia światła, zmienia się w płynny aksamit.

– Znów będziesz nas zadreślał swoimi opowieściami o duchach, braciszku? – Anna Konstancja jest już odprężona. Opiera stopy w wyjściowych jedwabnych pantofelkach o róg sofy.

– Pan Jerzy jeszcze ich nie słyszał.

– Przestraszysz Józefinę Marię i znowu będzie chciała spać przy zapalonych świecach.

– A ty, Anno? – pyta Jerzy.

Ona zbywa pytanie gestem białej dłoni.

– Ponoć istnieją upiory. Chadzają w białych płaszczach

i spiczastych czapkach. Zjawiają się w domach, by wyprowadzić leżące na marach zwłoki zmarłego członka rodziny...

– Wypisz, wymaluj, opis żydowskich lichwiarzy – wtrąca Anna Konstancja.

– Te upiorne postacie mogą zjawić się i przy naszych łózkach, żywych nawoływać po trzykroć imieniem nadanym na chrzcie. Jeśli odpowiesz, droga Józefino, umrzesz.

– Jesteś nieznośny!

– To dotyczy i ciebie, Anno Konstancjo. Anno Konstancjo. Anno Konstancjo.

– Kto ci naopowiadał takich bredni?

– Tituba, kiedy byłem mały i bezbronny.

– Czy Tituba to ta Negra, która służyła nam do kolacji? – pyta Jerzy, zapalając cygaro.

– Istotnie. Ojciec przywiózł ją z San Domingo.

– Podobno było tam piekło.

– Nie dla polskich patriotów, panie Jerzy.

– Ojciec tam stracił nogę – wzdycha Józefina. Anna Konstancja milczy częściej, niżby chciała. Nie wie, czym to wytłumaczyć: trema, czy rodzeństwo pochwali jej wybór? Ale przecież to ona została wybrana, wyniesiona w kobiecość. Może zazdrość, czy brat z siostrą nie będą chcieli zawłaszczyc Jerzego? Narasta w niej ochota na papierosa. „Non”, poucza się w myśli po francusku, co ma podkreślić stanowczość decyzji.

– Cóż, nie było to zwycięstwo.

– Czy wiecie, że po bitwie pod Friedlingen, w której to Francuzi odnieśli zwycięstwo nad Niemcami, drogie siostrzyczki, w Wersalu ukazał się duch jednego z podwładnych generała Villarsa? Podwładny ów miał przepowiedzieć swojemu ojcu – dworakowi, własną śmierć, nim król Ludwik XIV na generalnej audiencji odczytał listy poległych oficerów...

– Zagrajmy w karty.

– Ojciec zabrania.

– To choć w guziki! Teodorze Florianie?!

– I co pan na to, panie Zacharski? Dworak wykrzyknął: „Mój syn

nie żyje!”

– Możliwe, że istnieją jakieś magnetyczne fluidy pomiędzy ludźmi, którzy się kochają. Coś jak fluidy w postaci prądów elektrycznych.

– Prądów elektrycznych, drogi Jerzy? – pyta Anna Konstancja.

Wargi ma suche, obeschłe nawet pod warstwą różanej, tłustej pomady.

– W Paryżu, gdzie bywałem, krążył skrypt Volty „O identyczności prądu elektrycznego z prądem galwanicznym”.

– Miłość to miłość – protestuje Józefina Maria. – „Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a miłości bym nie miał, stałbym się jak miedź brzęcząca albo cymbał brzęący”.

Teodor Florian klaszcze z uciechy w dłonie:

– To dziecko jest wyjątkowo urocze, po prostu rozkoszne.

Panienka, która wierzy w miłość i upiory.

– Nawet Napoleon potrafił się zakochać!

– O tak, to na pewno – przykładowie zgadza się brat, któremu nie umknęło spojrzenie, jakim Jerzy Zacharski co rusz obrzuca Annę Konstancję.

Ani głodny wzrok Józefiny Marii, kiedy ta patrzy na potencjalnego szwagra.

Widziałem tylko Panią, podziwiałem tylko Panią, pragnę tylko Pani. (Napoleon do Marii Walewskiej).

Anna Konstancja nieśmiało odprowadza Jerzego do pokoju ojca. Nie przekroczy progu.

Wyuczona od dzieciństwa wie, że świat ma swoje męskie rytuały, do których pokorne i rozważne kobiety nie mają dostępu. Nawet jeśli właśnie ich sprawy poruszane są na tych sabatach. Czy ojciec zgodzi się, by Anna Konstancja wyszła za Jerzego Zacharskiego? Czy ją od siebie wypuści – z czarnej jamy choroby, gdzie nawet cienie na ścianach tańczą fałszywie i beznadziejnie?

Łapie się na tym, że jej ewentualne zamążpójście przyspieszy jego śmierć. A ten starzec, choć otumaniony bezruchem i kalectwem, też to wie. Czy Anna Konstancja powinna się poświęcić dla rodziny? Młoda kobieta waha się, przecież tak mało jeszcze otrzymała od życia. I dobrego, i złego, bo ze swoimi kolejami losu nie stanowi jakiegoś wyjątku w porównaniu z pannami zamkniętymi w innych dworach.

„Tato, jeśli się zgodzisz, dam ci wnuki. Będą jak kocięta Ignęły do twego wychudzonego ciała. Tato, kociaki o puszystych łepkach, miękkiej sierści, pachnące mlekiem matki. Moim mlekiem, tato”.

Jerzy daje jej znać, że kiedy rozmowa dobiegnie końca, pośle kogoś po nią. „Kogo?” – dziwi się w myślach Anna Konstancja. „To ja tu jestem służącą”. Służy ojcu i siostrze, toleruje Titubę, znosi Teodora Floriana... Trudno będzie się obyć bez tego męczeństwa w dworze Zacharskich. Naprodukuje sobie dzieci i będzie je krótko trzymać: powiedz, za co mamusia ma cię kochać?

Tak sobie imputuje w dusznym łonie panińskiego pokoju, aż orientuje się, że czas płynie jak rzeka, a Jerzy nie wzywa.

– W ogóle się do mnie nie odezwał, Anno Konstancjo. Twój ojciec nie powiedział do mnie słowa.

Nie poganiaj rzeki, ponoć płynie sama.

Dzień 29 listopada był chmurny i zimny. W mieście głucha cichość. Smutno i posepnie, jakby przeczuwano tę burzę, która tyle krwi i łez kosztować miała.

Krótki dzień jesienny minął szybko, zbliżała się chwila stanowcza. Wielki Książę Konstanty, ostrzeżony od dawna o zamierzonym powstaniu, miał wszystko w pogotowiu do jego pokonania. Wojsku naznaczył w razie alarmu trzy główne punkty zborne, to jest: Belweder, Saski Plac i Arsenał.

Belweder, mieszkanie Wielkiego Księcia, stoi na wzgórzu od południowej strony Warszawy. Ze środka miasta droga do niego prowadzi przez Nowy Świat, Plac Aleksandryjski i Aleje. Za pałacem stoczysty, pełen wdzięku park, łączący się z rozkosznym gajem łazienkowskim, ulubioną niegdyś przechadzką nieszczęśliwego Stanisława Augusta.

Noc była jasna, księżyc oświecał cały horyzont, tysiące gwiazd jaśniało, przez огоłocone z liści drzewa widać było z jednej strony Belweder, z drugiej posąg Sobieskiego.

– *Do broni, bracia! Do broni! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj musimy zwyciężyć lub umrzeć!*

Oniemiała ze zgrozy oraz zdumienia, że oszustwo może być tak wielkie. Ona – zawiedziona – malutka w jego cieniu.

Malutka w cieniu dworku, bardziej niż kiedykolwiek
przypominającego chatkę na kurzej łapce.

Niewidoczna w cieniu brata objeżdżającego nowego konia.

– Prezent od Zacharskiego. To klacz. Nazywa się Burza.

Annie Konstancji rasowa sylwetka zwierzęcia rozmazuje się przed
oczami. Za to wyraźnie czuje jego pot, a biel sierści oślepia ją jak śnieg
w słoneczny poranek.

– Łatwo do takiego konia wymierzyć na polu.

– Troszczysz się o mnie? Pod niejednym wodzem konia ubito, a on
na następnym ciągnął natarcie.

– Jej mi szkoda – przykłada palce do chrapy. Wilgoć końskiego
oddechu osiada na zaróżowionej skórze.

Teodor Florian zżyma się na te słowa, zazdrości pieśzcoty.

– Nie zabieraj go, proszę – ma na myśli Jerzego. Jąka się, słowa
płyną z niej jak z suchej studni. Gardło ma pokaleczone piaskiem z dna.

– Nie możesz martwić się o jedno zwierzę, kiedy ojczyzna wzywa

– Teodor Florian słucha siostry po swojemu i wie swoje. Anna
Konstancja nie potrafi mu wytłumaczyć, o kogo jej tak naprawdę chodzi.
Kogo pragnie chronić.

Opiera głowę o koński bok, derka szarpie jej policzek. Spocona
biel jest wszędzie. Otacza i wchłania jak mgła. Młoda kobieta
przypomina sobie, co powiedział kaleki żebrak, który podpierając się
kosturem i wężąc wskazówki wiatru, trafił do Jabłonnego Sadu na
odpust: – Prawdziwa ślepotą jest biała. To nicość o kolorze rozlanego
mleka.

Teraz Anna Konstancja myśli o krwi i brat wie o tym. Wyczuwa jej
myśli, jeśli tylko tego chce.

– Obiecuję, że wrócę z powrotem. I dam ci Burzę w prezencie
ślubnym, to wróci do Zacharskiego.

Kobieta zaciska usta.

– Nie złość się, złość urodzie szkodzi.

– Nie powinienes mieszać innych do swoich spraw.

– To są nasze sprawy. Nas wszystkich.

„Moje na pewno nie!”

– Myślisz jak kobieta... – krzyczy do jej pleców.

– Uważaj, sam zawierzyłeś życie klaczy.

– *Merde!*

„Zostaw mi go! Zostaw mi Jerzego!”

Szum uschniętych gałązek uderzających o okiennice.

Mężczyźni, pogwizdując i podśpiewując piosenki, wyjeżdżają z Jabłonnego Sadu, by przyłączyć się do powstania. Panowie i chłopci. Przygoda woła!

Anna Konstancja pragnie, by Jerzy się obrócił.

Obrócił jak żona Lota, zamieniając w słony kamień?

– Nie. – Bo jeden kamień ma już w domu. On teraz śpi, krótko, później będzie uderzał srebrną łyżeczką leżącą na stoliku nocnym, by wezwać córkę.

Co w Biblii napisano o córkach Lota?

– Nie.

Józefina Maria, słysząc zaprzeczenie po raz wtóry, troskliwie obejmuje siostrę.

– Nie bój się. Oni wrócą.

Annie Konstancji chce się śmiać. Opanowuje się jednak:

– Może i ty zajrzałaś w końcu do ojca?

„Płynie łódka, płynie, po głębokiej strudze,

Ożenię się z tobą, jak z wojny powrócę.

– Nie będę ja czekać, bo kto z wojny wraca,

Nie zawżdy wszystkiego w sobie domaca”.

Ledwo zniknęli, już przychodzą listy.

– I co? – pyta Józefina Maria, kiedy pod palcami siostry pęka pieczęć z laku.

– A dasz mi w spokoju przeczytać?

– Od kogo?

– Od Teodora Floriana.

– To znaczy, że i do mnie!

– Więc masz, czytaj – rzuca jej zapisany papier. Tamta łapie go skwapliwie. Czyta z namaszczeniem, przygryzając dolną wargę. Anna Konstancja czuje się staruszką przy swojej siostrze bliźniaczce.

Zirytowaną, z plamami gorąca na twarzy. Z bólem ukrytym w nic nieznaczących cebulkach włosów...

Wyrwać je, oskubać się! Być łysą jak czaszka; jak ojciec, którego włosy podobne do pajęczych nitek codziennie zbiera na kościanym grzebieniu.

– I co? – prawie warknięcie.

Józefina Maria, ignorując ton pytania, rozpromienia się:

– Teodor pisze, że są kłopoty z uzbrojeniem. Na lancach źle osadzone groty i...

– Więc Teodor i Jerzy wracają?

Józefina Maria kręci głową.

– ...napisał: „Pobijemy ich drzewcami”.

– Hura – mamrocze Anna Konstancja, zastanawiając się jednocześnie, gdzie ukryć przed Marią list od Zacharskiego. Niewątpliwie list miłosny, teraz leżący słodko-gorzki ciężarem w gniazdku piersi. Za stanikiem, jak zapamiętana dłoń.

. . . .

Zaprawdę, ciągle jeszcze się dziwię, że wyszedłem żyw z tego piekła walki. Pamiętam, od południa do godziny trzeciej zmienialiśmy trzy razy ładunki; broń była tak rozpaloną, że nawet łoże drewniane było gorące. A tu granaty spadają nam na głowy, tam ścięte kulami wierzchołki drzew przygniatają naszych kamratów, ówdzie gałęzie potężnymi ciosami biją w nas i kaleczą, słowem, istny sabat diabelski! Ale szeregi nasze topnieją poważnie, podczas gdy Moskali jakoś nie ubywa! Bo i skądżeż? Dybicz znowu pchnął na nas grenadierów Freiganga, tak iż obecnie 40 batalionów walczy przeciwko dwom naszym osłabionym dywizjom! A tu znikąd rezerwy, znikąd pomocy; zaczyna nas ogarniać śmiertelne znużenie. A sam pobyt w tym piekle jakżeż przerażający! Trup na trupie, a na nim jeszcze dalsze! Polacy, Moskale, czwartaki, ósmaki, strzelcy, siódmaki, pokryci posoką krwawą, że aż źle patrzeć, leżą całymi stosami! W głównym rowie środkowym tyle trupa, tyle krwi ludzkiej! Powietrze cuchnie – odrażający odurza nas fetor! Mimo to dotrzyaliśmy placu aż do bliska godziny czwartej i każdy z nas, czwartaków, miał w Olszynie na pewno trzech Moskali na sumieniu! Na żadnym polu w życiu moim nie widziałem tyle snopów, w żadnym boru tyle szczap drewna, ile nasze dywizje nakładły rannych i trupów moskiewskich w Olszynie.



Józefina Maria

Jabłonny Sad, 1831 rok

To Anna Konstancja przyniosła chorego wróbla. Józefina Maria przegapiła tę chwilę, zamknięta w swoim pokoju. W pudełku przenosi ptaka do sypialni ojca, by mieć obu rekonwalescentów na oku.

„On już nigdy nie wydobrzeje”. – Natrętna myśl pojawia się i znika. Jest przeganiana. Myśl, niby intruz spoza umysłów, przynależy do Jabłonnego Sadu. Tego niewydarzonego Avalonu.

Następnego dnia rano Józefinę Marię budzi wołanie. Siostra monotonnie skanduje jej imię. Jakby chciała je zakląć. Wołanie o poranku ma tę magiczną moc, że prędko wyciąga Józefinę z łóżka. Bosa biegnie do rodziny.

Po pokoju ojca rozbija się szary ptaszek.

– Pomóż mi go złapać!

– To ten sam, którego wczoraj...?

– Tak.

Wróbel zatacza koła tuż pod belkowanym sufitem, czepia się zasłon i znów odlatuje. Chowa w zakamarkach boazerii. Ojciec patrzy na to, wciąż nieruchomy, z pierzyną podciągniętą aż pod brodę. Józefina Maria zerka: ojciec znowu odmłodził. Wygląda jak ten mężczyzna, którego obraz zapamiętała z dzieciństwa.

– Czy nie mówiłaś, że on jest chory?

– Pomyliłam się. – Ustawiają piramidę ze skromnych mebli, by

dostać się do uciekiniera. Brązowy ogon drży w zaułku belek. Józefina Maria gramoli się na górę, ale nim dosięgnie piór, ptaka już nie ma.

Wpadł za kredens.

– Stamtąd już go nie wyciągniemy. Zdechnie i zasmrodzi cały pokój.

– Odsuniemy meble – rzecze Józefina Maria i dziarsko zabiera się do opróżniania półek. – Pomożesz mi?

– Żeby tylko go nie zgnieść. Jest taki malutki.

Powstaje szpara pomiędzy ścianą a meblem, z którym się mocowały. Szpara na płaski brzuch, na dziewczynskie biodra.

– Widzisz coś?

– Jego tu nie ma! – jęczy Józefina. Koty kurzu wirują wokół niej, lepią się.

– Trzeba tu posprzątać – siostra garnie się do drzwi po miotłę, miednicę i szmaty.

– Czeka!

Józefina Maria dostrzega ptaszka: jego czarne, bystre oczko rozblęskło światłem jutrzeńki. Wróbel wbija pazurki w obłuzowaną deskę. Jego pióra zlewają się z kolorem rozłazącego się, wyschniętego drewna. Popiół i kurz.

– To dziewczynka – mówi Józefina i wstrzymuje oddech. Czas się zatrzymuje, a ona czuje, jak sztywnieją jej mięśnie. „Teraz albo nigdy!” – niezgrabnie rzuca się do przodu, zaciskając zaskakująco wielką dłoń na pierzastym ciałku.

– Mam go!

Ptak ćwierka przeraźliwie. Dziobie palce, aż pozostają blade ślady, które podbiegną krwią. Uwalnia jedno skrzydełko i zaczyna nim trzepotać.

– Popatrz, jaka śliczna! Popatrz, jaka odważna! – Śmiejąc się, zupełnie zapomniały o ojcu.

– Wystarczy już nieszczęść. Pozwólcie mu odlecieć! – Jest zły. Zmęczony hałasem, zazdrosny o uczestnictwo w gwarze.

– Wyniosę go na zewnątrz – mówi Anna Konstancja, rozglądając się za pudłem.

– Nie łatwiej byłoby otworzyć okno? Mogłyśmy zrobić to od razu

– szepcze siostra zdumiona własnym gapiostwem. Ona: żywe srebro tego domu.

– Nie. Ojcu jest zimno.

Józefina Maria teraz dostrzega, że chory trzęsie się pod podwójną warstwą pierzyn. Szczęka zębami, choć sama mogłaby przysiąc, że jest jeszcze ciepło. Ciepło we śnie, który właśnie śni. Ale... Na ten chłód nic nie poradzi, bo rodzi się on w zwolnionym rytmie serca.

– Tato, jesteś zły? – pyta, budząc się w końcu do rzeczywistości, ułożona na własnych poduszkach.

Gdyby mogła, spałaby czternaście godzin ciurkiem. Gdyby tylko Tituba nie budziła jej śniadaniem, na które składa się owsianka i ciepłe bułeczki wypełnione nadzieniem z konfitury z rajskich jabłuszek.

Nawet zimą sypia przy uchylonym oknie. Późną wiosną i latem starannie zasuniętym woalem, by żadna ćma nie przedostała się do pokoju. Józefina Maria boi się tego małego życia, które nocą tuż przy uchu obija się o ściany. Obija się o sen, pozostawiając na twarzy śpiącej pył ze skrzydeł...

Józefina Maria czuje obrzydzenie do tych nocnych motyli, które z głupoty lub omamione złudzeniem tak łatwo padają ofiarą autodafe za sprawą zwyczajnej domowej świecy. Krzywej i lepkiej.

A choć nieme, więc giną w ciszy, to jednak ich rozgrzane ciała skwierczą, pękają jak prażone nasiona. Brr...

Latem Józefina Maria zamienia się w poławiaczkę nocnych gości. Z misjonarskim zapalem wygląda ruchomych płam na ścianach, chwytając owady w klatkę garści, później wyrzuca za okno. Satysfakcję, po ludzku pomieszaną z niepokojem, czuje już do rana. I dopiero w oparach dnia zasypia. Kiedy była mała, Tituba powiedziała jej, że ćmy to dusze zmarłych.

Trudno pozbyć się myśli, że może być pośród nich i matka.

Najpierw czuć odleżynę, a dopiero później ją widzieć.

Drzwi są uchylone. Józefina Maria zagląda do wnętrza, kiedy jej stopy sztywno trzymają się progu. Ojciec leży na boku, z rękoma ułożonymi pod policzkiem. Ani drgnie: nagi, odkryty, z pieluchą zrolowaną pomiędzy udami. Jaki on chudy! W chorobie odzyskał ciało fałszywego wyrostka, który zmęznieć może tylko w grobie. Józefina

Maria podgląda kościste pośladki, wąskie plecy Jana Zygmunta, poplamione wątrobowym naciekiem, i nie czuje wstydu, ani nawet ciekawości. Tylko ogromne współczucie.

Nawet wietrzona odleżyna nie chce zaschnąć. Jak łyzy sączy się z niej osocze. Powoli, kropla za kroplą. To ciało jeszcze żyje, choćby nawet już dogasało... Józefina Maria cieszy się z tego, cieszy się, że wciąż ma ojca. Wcześniej wydawało jej się to rzeczą oczywistą, niewartą uwagi.

– Dlaczego on tyle śpi? – pyta Anny Konstancji, a ta obrzuca ją długim, badawczym spojrzeniem. „Odwiedziłaś go wreszcie?” Jakby próbowała pod własną twarzą odczytać cudze myśli. Józefina Maria oblewa się rumieńcem.

Koń uszkodzony jakim bądź sposobem z powodu okucia – mógłby ozdrowić w kilku, a odsedniony w kilkunastu dniach. Zaniedbany zaś, nie usunięty z pracy, musi wkrótce stać się nieużytecznym i później marnie zginąć. Po kilku miesiącach kampanii zgroza zajrzeć pod kulbaki. Smród z jątrzących się pod nieustającym naciskiem ran ciągnie się wzdłuż maszerującej kolumny. Trzeba się tylko dziwić, jak zwierzę może znosić, i to czas długi, takie męczarnie. Ale wszystko ma swoje granice – koń cierpi, chudnie, słabnie i koniec końców ginie. Dostarczają amunicję, dlaczegoż nie dostarczają od czasu do czasu derek i kulbak na miejsce zużytych i popsutych.

Jaki jest ten świat? Człowiek wciąż go nie pojął, ale choćby nauczył się na pamięć, w końcu umiera! Józefina Maria z marszem na dziewczynskim czole patrzy w przestrzeń nocy. Ogląda księżyc za szybą, choć patrzenie nań przez szkło podobno przynosi nieszczęście.

Nieszczęście, szczęście – nie są to terminy, które wielki księżyc potrafiłby odnieść do siebie... Kiedy Józefina Maria przestała dostrzegać w srebrnym globie jowialną i uśmiechniętą twarz bóstwa, zaczęła rozumieć, że ten nocny krąg to nic innego jak kawał lodu; nieożywiona bryła lodu krążąca po wszechświecie.

Teraz Józefina Maria sprawia wrażenie nieobecnej. Jakby widmowej w srebrzystej poświacie.

Józefina Maria lunatykuje. Coraz częściej i coraz dłużej.

Budzi się daleko od swojego łóżka, na środku lodowatej podłogi.

Bosa, z palcami umazanymi ziemią ciemnego sadu.

Zapach przypalonej owsianki niesie się po całym dworze.

Owsianki, która kipiąc, zlepia się jak brązowy papier.

Głodna Józefina Maria zbiega po schodach.

– Mogłabyś się ubrać – zgrzytliwy głos jej siostry komentuje nocny negliż. Ona sama schowała się w cieniu, a Józefinę Marię obserwuje w lustrze. Patrzy na Józefinę Marię z prawą ręką na miejscu lewej, z lewą nogą na miejscu prawej.

– Gdzie jest Tituba? – Siada za stołem, w jadalni. Opiera trójkątną brodę na dłoni, niby dziecko. Nadgarstek jej drży. Do ust mimowolnie napływa ślina na samo wczorajsze wspomnienie grubej soli w mleku. Ona owsiankę soli, Anna Konstancja – słodzi.

– Przygotowuje kąpiel dla ojca.

– Tak wcześnie?

Odpowiedzią, jak się domyśla, może być tylko wzruszenie ramion.

– Anno?

Anna Konstancja materializuje się z cienia i staje nad nią.

– Przyszła spóźniona wiadomość. Powstańcy zastrzelili pułkownika Nowickiego, przyjaciela naszej rodziny.

– Tak?

– Zawsze się jękał. Nawet przedstawiając – mówi Anna Konstancja, choć kolegi ojca nie widziała od lat... Ostatnio chyba na pogrzebie Paulette, a wtedy milczał. Ze smutku, z szacunku, z zażenowania, wszystkiego po trochu. – Wzięto go za komendanta Warszawy, rusofila Lewickiego.

– I zabity?

– Tak.

– Nie musiałaś mówić ojcu!

– Ale powiedziałam.

– A teraz ta kąpiel...

– To normalna kolej rzeczy. To spotyka nas wszystkich. Lewicki, Lisiecki, Nowak...

– Co?

– Nic. Tak napisali.

Budzi się z krzykiem. Wyprostowana jak struna siada na łóżku.

Cienka, wilgotna koszula przykleja się do drżących piersi. Wdech – wydech. Wdech – wydech. Wolniej...

Józefina Maria próbuje sobie przypomnieć powód tego krzyku. Już wie: śniło jej się, że zamordowała ojca.

Rzuca się do tyłu i chowa głowę pod poduszkę. O Boże.

Innego dnia śni jej się starczy ojciec, który się masturbuje. Z trudem, z wysiłkiem godnym Syzyfa dusi pociemniałe prącie w słabych dłoniach.

Józefina Maria uważa, że kara dla Syzyfa była do przyjęcia, bo liczył na to, że w końcu wtoczy głaz na szczyt! Nawet bogowie znają miarę w okrucieństwie.

. . .

Stoją w sadzie, pod osłoną ciemności. Liście szumią, a gałęzie z głuchym zgrzytem zaczepiają o siebie jak złożone palce martwego, obrane przez czas do kości.

– Jakiś *boko* nałożył na sny zły urok. – Tituba klęczy i z wyraźną przyjemnością zaczyna kopać dołek w ziemi; wygląda trochę jak czarny, drobny pies.

– Czy można go zdjąć?

– O ile złożysz bogom lepszą ofiarę niż zły czarownik.

– A jak się o tym przekonam? – pyta Józefina Maria.

– Będziesz wiedziała – podnosi ubłoconą pięść i młodsza kobieta pomaga jej wstać.

– Zabij go – Tituba wskazuje na drzewo, do którego konopnym sznurkiem przywiązany jest kogut. – Niech jego krew wróci do ziemi.

– Nie mogę tego zrobić!

– Więc będziesz śniła cudze sny – mówi Negra i odchodzi, zostawiając rozbudzoną dziewczynę z kopczykiem rozdrapanej ziemi i ptakiem, który schował łeb pod skrzydło.

„Jakże za Tobą teraz tęsknię...” – płomienie liżą jego pismo.

W rzeczywistości mogłabyssać palce ukochanego, w których trzymał pióro.

Wirują iskry ze spalonego papieru, gasną pojedynczo. „To zakonnice spać idą”, mówiono w dzieciństwie jej i siostrze, kiedy

wpatrywały się w krzesany żar ogniska, który eksplodował wokół jasnymi drzazgami. Szczerozłotymi na tle burej ściany panieńskiej komnatki...

Józefina Maria jest ponura. W końcu tak łatwo było wkraść się do pokoju Anny Konstancji, otworzyć pachnącą lawendą szufladę, wyjąć cienką kopertę z przewiązanego wstążką pakieciku i teraz palić ten list. Te słowa tak pożądane a obce.

I nie przychodzi za to kara: ani krzyk, ani grom z jasnego nieba. Tylko proch z ćmy słów, skierowanych do kogoś innego.

. . . .

Miłość jest ślepa. Miłość jest ślepa jak ciuciubabka.

To dzieje się jeszcze latem. Oczywiście przebąkują o wojnie, ale kto by się tym przejmował w taki upał! Józefina Maria zaciska powieki, kiedy drży ze zdenerwowania, z podniecenia – ona jedna bardziej czuje, niż słyszy, jak rzęsy ocierają się o jedwabną szarfę, którą przewiązano jej oczy. A przecież jest cisza. Ani mru-mru...

Józefina Maria rozrzuca ręce, trzepocze nimi jak ptak. Gąska! Gąseczka. Słyszysz zduszone śmiechy. Towarzystwo się bawi.

– Uważaj: okno!

– Uważaj: świece!

Głosy zapominają ją ostrzec i chwytają krzesło.

– Złapię was! Złapię! – Józefina Maria obiecuje głosom. Ciała siostry, służącej, sąsiadów zamieniły się w owady. Józefina Maria słyszy trzepot, brzęczenie, czuje żądła. Pot osiada na brwiach, na jedwabiu. Gotowa jest się rozplakać? Nie!

– Dalej, gąseczko! – Bola ją podeptane stopy w balowych pantoflach. Pierś podnosi się, opada. Dziewczyna nieruchomieje, węszy, a później zapędza kogoś do kąta.

Czuje tytoń, wodę kolońską, własny pot, którego woń nie jest już obca dla ściganego. Nic nie umyka, bo naraz świat zaczął ograniczać się do tej pary...

– Ciuciubabka – wykrzykuje Józefina Maria, sięgając wolną dłonią do potylicy i kokardy przypominającej skrzydła ćmy. Palce drugiej przytrzymuje na ramieniu zapędzonego w kąt. Napiera nań szczupłymi

biodrami.

– Ciuciubabka – zakochuje się w nacisku, który oddają jej jego łędźwie. W kwaśnym oddechu. W ciepłe uczynionym ze spięcia ich dwóch ciał, z ciepła, które nie jest anonimowe i bezpieczne nawet w tym wszechogarniającym upale.

– Gratuluję!

Józefina Maria stoi przed narzeczonym siostry. Jak w transie dotyka jego policzków; zgolony rano zarost już zdążył odrosnąć? Dziewczyna chce go strzepnąć – wygląda jak popiół na skórze, która powinna pozostać nieskalana.

. . . .

Anna Konstancja balansuje miską pełną mydlin i polepionych siwych włosów; balansuje przy orzechowej poręczu.

– Daj – naprasza się Józefina Maria gdzieś z dołu, słodkim głosem.
– Wyleję i umyję miskę.

Tamta patrzy uważnie, mruży oczy, które są tak podpuchnięte, że aż groteskowe. Stare oczy w młodej twarzy.

Waży mydliny w rękach, jakby to był jakiś skarb, a ona do końca nie potrafiła go wycenić.

Wzrusza ramionami i przekazuje ciężar siostrze.

Józefina Maria dyga odruchowo. Potem wiele stopni w dół, chowa się w norze pod schodami i chłepcze mydliny. Usta ma spragnione. Pije wodę z miski.

Miesiąc stoi w pełni.

– Jak twoja *wanga*? Klątwa działa?

Józefina Maria ignoruje pytanie. Nie po to tu przyszła.

– Potrafisz sprawić, by mężczyzna kochał kobietę?

– Myślisz o afrodyzjakach? – Tituba zaciąga się skręconym papierosem. Ma gniazdo popiołu we włosach, co w świetle księżycy robi makabryczne wrażenie. Wypuszcza dym nosem.

Ona płonie, myśli Józefina Maria.

– „...żyj dla niedzieli albo spocznij w grobie” – mamrocze Murzynka, mieszając modlitwę różańcową z kreolskim.

– Nie słuchasz mnie!

– Nie ma takich czarów.

– Nie wierzę ci.

– Nie musisz. *Ave Maria Purissima*. – Tituba ściera niewidoczny pył z czoła młodej kobiety. Przegląda się w niej jak w spokojnej wodzie. Józefina Maria wzdryga się i to wrażenie, które dotąd dzieliła z bliźniaczką, znika spłoszone.

„Ona zagląda we mnie”, myśli.

– Przyniosłam koguta. – Sięga do kosza, który stoi u jej butów. Coś w nim drży, coś się w nim porusza.

– Myślisz, że on wie?

– Kto?

– Ptak.

Józefina Maria patrzy na ruchliwe, bose stopy tamtej.

– Nie zimno ci?

– Rozgrzałabyś mi je juchą. Tylko po co?

Józefina Maria ostrze ma schowane w dłoni. Wiklina stęka.

W czasie potrzebnym do jednego uderzenia serca w nocnym powietrzu rozchodzi się zapach krwi.

8 września 1831 roku Warszawa upadła.

Ból nie zaplemnia jej skrycie, by w końcu zamienić się w natarczywy embrion – spada jak grom z jasnego nieba. Ostrze zwyczajnego noża przesywające żołądek. Błysk i już.

Kłęczy na czworakach, na powleczonej sienniku i próbuje otrząsnąć się ze zdumienia. To nie jej ból! To nie był jej ból!

Obyło się bez blizn i znikł bez śladu.

Księżyc stoi nisko, osłonięty chmurami, które prawie pełzają po ziemi. Oświetlona srebrzyście trawa faluje leniwie jak morze. Świat przed Potopem. Albo po. Któż może wiedzieć? Jedyne ktoś, kto ocalał... Gałązki jabłoni trzeszczą pod naciskami wiatru, roniąc listki.

Józefina Maria czuje się jak potępiona dusza. Bezsennie przewraca się z boku na bok na panińskim łożu. Poduszka przypomina kamień. Coś więcej niż niewygoda każe Józefinie Marii wstać, bosko zejść do sadu. Stąpa ostrożnie jak cień poszukujący innego cienia. Teraz, widząc ją bladą, w białej koszuli, z rozrzuconymi włosami, które kolorem nie odróżniają się od płaszcza nocy, można by się dziewczyny przestraszyć.

Mężczyzna, którego bicie serca wywabило Józefinę Marię, nie boi się jednak. Wie, że jest oczekiwany. Nie przyjmuje do wiadomości, że może się mylić.

– Anno Konstancjo! – Wiatr niesie jego cichy krzyk.

Józefina Maria opuszcza głowę, kryjąc uśmiech.

– Jestem.

– Mamy tylko chwilę. Ja i ludzie, niedobitki z mojego oddziału...

Cofamy się, szlakiem obok Jabłonnoego Sadu i... Do diaska, po co tracić czas na słowa!

Ręce ni to ludzi, ni to widm splatają się. Potem przychodzi pora na usta, ramiona, uda. Szybciej, niżby ktoś się spodziewał. „A więc tak to smakuje”, rozmyśla Józefina Maria, przygryzając usta, kiedy westchnienie kochanka ginie na jej piersi. Krew rozsadza skronie.

– Zrób to jeszcze raz – prosi Józefina Maria. Omotany powstaniec ochoczo wypełnia rozkaz, umazany błotem i nią. Józefina Maria przygląda się jego plamom na koszuli, rozdarciu na rękawie munduru. Jest ciekawa. Oczy ma szeroko otwarte. Raniony mężczyzna łka, wypowiadając imię zjawy; całuje nagą kobietę po opuchniętych palcach.

– Och, Matko Boska. Kostko, moja Kosteczko. Anno.

Ave Maria Purissima.

Martwe dusze też żyją.

Wiatyk dla Jana Zygmunta: *Boże, wybaw duszę twojego sługi, tak jak wybawiłeś Mojżesza z niewoli faraona, króla Egiptu; Boże, wybaw duszę swojego sługi, tak jak wybawiłeś z więzienia świętego Piotra i świętego Pawła.*

– Sprowadźmy księdza – mówi Józefina Maria.

Religijność widmowej matki ledwo pamiętają; wiara ojca jest już tylko widmem.

– Nie. Nie chcę, żeby się bał – protestuje Anna Konstancja. – Dopóki kapłan nie przyjdzie, ojciec nie będzie wiedział, jak jest źle.

– To ty się boisz.

– Nie.

– A ja tak.

Myślą o okrągłej, nalanej twarzy duchowego ojca Jabłonnoego Sadu i jego oddechu pachnącym nielegalnie warzoną śliwownicą. Ten to

dopiero ma co zapijać: tyle nierozgrzeszonych dusz, tyle wątpliwości.

– To nie jest zły człowiek. Tylko słaby.

– Kto?

– Przecież nie ojciec. Może ty? – Józefina Maria zadziera pytająco podbródek.

Drzwi pokoju sparaliżowanego otwierają się; wychodzi Tituba, upychając niesforne włosy pod turbanem.

– Gorączka spadła. Panny mogą teraz do ojca wejść.

– Bogu niech będą dzięki! – Podrywa się Anna Konstancja.

Wrony biegają za oknem po śniegu. Czarne jak litery alfabetu na pamiętnikarskiej stronie. Ruchliwe jak kleks. Głośne jak kłamstwo.

Warują przy jego łożu jak wierne suki, jak ożywione buraczanym rumieńcem posągi z kościelnej kaplicy, strzegące sarkofagu – „*Valde te rogo, ut secundum pedes statuae meae catellam pingas... ut mihi contingat tuo beneficio post mortem vivere*”^[1]. – Są ewidentnie symetryczne. Jedna przegląda się w drugiej, jedna drugiej oddaje lustrzane odbicie.

– Nigdy mnie tak nie strasz – mówi Anna Konstancja i całuje dłoń ojca. Rękę własnego źródła. Dłoń przyczyny i skutku.

Czy Jan Zygmunt bywa dumny ze swoich córek?

Czy chce je teraz zapamiętać, by powracały wypalone na synapsie w tej wędrówce, która prowadzi go do Nieba? Podobno całe życie staje przed oczami!

– Wracasz z bardzo daleka – ekscytuje się Józefina Maria. – Ale wracasz.

Uśmiechają się; cała trójka obmyta nadzieją jak wodami chrztu, który przeżywanej wspólnie chwili daje złudzenie nieśmiertelności.

. . .

Może i ciało ojca przypomina owadzią wylinkę, ale jest okrutnie ciężkie. Przesuwają go we dwie, a przydałaby się i pomoc Tituby. Anna Konstancja napiera na ojcowskie ramiona, Józefina Maria chwyta go za kostki i próbuje ułożyć jego nogi. Na skórze koloru alabastru choremu od byle dotyku pojawiają się sine wylewy.

Porusza nogami pod kocem jak chrabąszcz odnóżami.

Czasem córki tylko siedzą obok i patrzą: na niego, w przyszłość. On zerka do własnego środka, w to, co już było. To go ostatecznie zgubi. Powinien trzymać się jasnych spojrzeń córek, ich słodkich oddechów.

Chce tylko jabłek. Ma nieustanny apetyt na jabłka. Wszystko inne zwraca dołem i górą. Siostry rozmaczają ojcu w mleku albo wodzie suszone plastry jesiennych malinówek. Na zmianę schodzą do małego podpiwniczenia i w kopcu słomy szperają, poszukując jeszcze jednego jabłka jak igły. Przekopują nawet piach, który skrywa niepotrzebną już marchew. Może w nim znajdą małe brązowe jabłko o twarzy starości?

Starość. Jest jak piasek – nie sposób utrzymać go w dłoni.
A później starość umiera wraz z ciałem.

Ciało Napoleona i ciało Jana Zygmunta toczyła ta sama choroba. Nigdy niedający za wygraną rak.

Jego oddech jest prędko i głośny. Śmiertelnie prędko i głośny. Świeca się dopała. Czas przyśpiesza, by ostatecznie zwolnić bieg. Zatrzymać Wieczność zaklętą w minutę.

Anna Konstancja osłuchuje ojca. Nie musi się nawet pochylać, by rozpoznać melodię wody przenikającej jego płuca. Ona, właśnie ona stara się ignorować krew na poduszce. Józefina Maria stoi obok i wyłamuje palce ze zdenerwowania.

– Przestań! – słyszy w myślach komendę od tamtej. I słyszy ojca, który na jawie porusza ustami.

– Gdzie cię boli? – Anna Konstancja dotyka miejsca tuż nad sercem, nad żołądkiem. – Może tutaj? – Józefina Maria patrzy, jak Anna Konstancja zamyka dłoń na podbrzuszu chorego. – Może to zapalenie pęcherza?

– Jego boli brzuch. Bardzo boli brzuch.

– Dlaczego brzuch?

Anna Konstancja idzie po Titubę.

– Przydałby się kawałek lodu – gdera czarna już na schodach.

Józefina Maria staje u wezłowania chorego i poprawia jego poduszki. Wtem ojciec odzywa się całkiem wyraźnie, a córka musi udawać, że nie słyszy. To nie dzieje się naprawdę! Ogarnia ją zgroza.

Mój biedny, kochany tata.

Kiedy Tituba odprawia swoje gusła w zamkniętym pokoju, obie

czekają za progiem... czekają, nie bardzo wiedząc, na co.

– On umiera.

– Co?

– Ojciec powiedział do mnie: ja umieram – mówi Józefina Maria.

– To niemożliwe. Nie mogłaś go zrozumieć.

– A jednak zrozumiałam.

– Nie.

– „Ja umieram”.

Wciąż czuje ciężar jego bezwładnej głowy na rękach.

Gładkie włosy, śliskie i cienkie, całe ich białe kępy pozostawały na grzebieniu kierowanym dłonią Anny Konstancji. Świeże oko Józefiny Marii dostrzegło, jak w ostatnich dniach odrastają. A zamiast bieli powraca u nasady ich naturalny kolor. Ostatnie, ostateczne szaleństwo ciała: jesteśmy tym, co straciliśmy.

Józefina Maria boi się otrzeć czułe dłonie o krepową sukienkę.

– Lepiej nam było, kiedy byliśmy sami!

– To także mój ojciec.

– Niepotrzebnie nalegałam na twoją pomoc, Mario – Anna Konstancja siada ciężko na schodach, a za chwilę nagle się podrywa. – Nie zniosę tego. Muszę zapalić.

– Zostanę z nim – mówi Józefina Maria do jej pleców.

Krew przypominająca fusy tryska mu z ust.

Józefina Maria odruchowo się uchyła, a później pochyla nad chorym.

– Już to sprzątam, tato.

Myje go, czyści, aż na wyschniętej szyi zostaje tylko ciemnobrązowa kropka, mogąca uchodzić za odparzenie.

– I jak? – pyta powracająca Anna Konstancja. Pachnie dymem i polem.

– Bez zmian. Pytałam właśnie ojca, czy pamięta, jak byliśmy małe i zabierał nas na wspólne chwywanie wiewiórek.

– ...lepiej – mówi nagle ojciec, połykając końcówki. – Czuję się lepiej – powtarza, jakby od tego zależało życie. – Boję się, że jak usnę, to umrę.

– To nie śpij. Nie pozwolę ci zasnąć. – Józefina Maria wcale już

nie myśli o wiewiórkach.

Józefina Maria dopada do ojca, który podczas ich krótkiej nieobecności spotkał Ostateczne. To prawda, że ludzie umierają w samotności. Zluzowani z życia chwilową nieobecnością bliskich. Jakby nie chcieli ich martwić, jakby nie chcieli martwić siebie.

– Biegnij po Titubę – popycha ją Anna Konstancja, a sama bierze ojca w ramiona, powtarzając jak zakłęcie:

– W porządku. Oddychaj wolniej. Jestem już.

Jeden. Dwa. Trzy...

Kochanie ty moje...

Jestem.

Głowa ojca drży i zdrowa ręka uderza spazmatycznie o pościel. Oczy, wpięte zdumione, oczy małego chłopca, oczy dziecka budzącego się do ciemności, uciekają w bok, w głąb czaszki i Józefina Maria do końca swych dni nie będzie wiedziała, co w nich wtedy odczytuje: przerażenie czy ulgę?

– Gdzie Tituba?!

Jan Zygmunt jest zdegrustowany śmiercią.

Świeża krew lśni na niekompletnych zębach. Anna Konstancja wpatruje się w nie, oszołomiona. Siostra chciałaby jej zamknąć oczy, ale tylko przenosi głowę ojca na swoją spódnicę.

– Właśnie wydaje ostatnie tchnienie – mówi cierpko Tituba.

Wygląda jak jeszcze jeden cień w tym wieczornym pokoju oświetlonym gromnicą.

– To niemożliwe! – protestuje Anna Konstancja, a później skłania się i całuje ojca wprost w usta. Jeszcze ciepłe. – Zawsze będę cię kochać.

Wstaje i zabiera się do sprzątnięcia brudnych szmat, zlewania zmatowiałej wody. Ta, przelewając się w miednicy, przypomina zaszłe mgłą, zażawione źrenice ojca.

– Jeszcze się spotkamy – szepcze do trupa Józefina Maria. Wie, że w końcu dzisiaj się wyśpi. Złe sny się skończyły, bo straciły rację bytu.

– Zajmę się resztą, jeśli panienki pozwolą – rzecze Tituba miękko, ale stanowczo.

Józefina Maria obraca się i widzi, jak coś niby cień kładzie się na czole Jana Zygmunta i sunie w dół ciała, pozostawiając je pokryte jakby

żółtym woskiem.

– On odszedł. Tu już go nie ma.

„Więc gdzie jest?”, pyta jakiś głos w jej głowie.

Klęłem tylko i nie ma się czemu dziwić. Wojna czyni prozaicznym. Przeszłość jest to pole, po którym żołnierz nie lubi harcować, i przyszłość – prawdę mówiąc – niechętnie zmienia: kortyna za blisko, jutro nie jego, trzeba się czasem i z diabłem podzielić. Czas więc obecny żywiołem żołnierza; jak ryba, co się w ziemię nie spuszcza ani wznosi w powietrze, ale płąsa w wodzie, w nim on się zwija i w nim żyje. Co mam, trzymam, czego nie mam, biorę – co było, to było, co będzie, to będzie... A ty ruszaj, szkapo, bo mi zimno kaducznie, bo już noc na schyłku, bo już widzę cel mojej podróży.

„Te souviens-tu?

Czy pamiętasz?

Te souviens, disait un capitaine...”

^[1] „Proszę, byś namalował małego psa u stóp mego posągu... tak bym dzięki twojej przysłudze mógł odnaleźć życie po śmierci”. Tekst jest przypisywany Petroniuszowi.



Wyspa

San Domingo, 1802 rok

Jednak nie umarł na żółtą febrę. Jan Zygmunt czuje (Bóg wie dlaczego?), że już nie zachoruje na gorączkę krwotoczną. Został ocalony. Jest ocalony, choć febra wciąż dziesiątkuje jego towarzyszy broni. Bierze dziewięciu spośród dziesięciu mających w malignie, z ciałami naznaczonymi na żółto, z czarną wydzieliną wypływającą z otworów, która śmierdzi jak zepsuta krew i jak krew krzepnie – od środka błotnistych kałuż, które przyciągają tłuste muchy. Haitańscy Murzyni w ogóle nie chorują, Kreole przechodzą żółtą gorączkę jak cięższe przeziębienie. Jan Zygmunt Jabłoński nie należy ani do jednych, ani do drugich, lecz mimo to żyje. Wciąż żyje! Mocne, równomierne bicie jego serca znajduje wspólny rytm z tubylczymi bębnami, które rozdierają noc po nocy. Ciemność pachnąca kwiatami bugenwilli, wcześniej dzikiej jabłoni, której on – polski dziedzic – nie wyobrażał sobie w tym miejscu. Przed ekspedycją na San Domingo, gdzie Pierwszy Konsul wysłał sojusznicze polskie legiony, by stłumiły bunt tubylców, wyobrażał sobie mniej niż nic, a przecież był dorosły. W rzeczywistości niewinny jak dziecię... Ale to się skończyło. Spośród dwudziestu pięciu tysięcy żołnierzy wysłanych przez Napoleona na Haiti w krwawych wymiotach umierają dwadzieścia dwa tysiące. Do domu Polaków powróci tylko garstka, nadal będą chcieli wojować za Napoleona. Zakochani w przywódcy, który potrafił być kochankiem: „Nagradzając

znakomite usługi wojenne przez walecznych Polaków Rzeczypospolitej okazane, 3 półbrygada odtąd do wojska francuskiego przydzieloną zostaje, z którym równych zaszczytów, praw i korzyści używać będzie i numer 113 półbrygady przybiera”. 113! Wziętego w niewolę porucznika Madejskiego buntownicy murzyńscy walczący o wolność Haiti włożyli pomiędzy dwie deski i wzdłuż przepiłowali. Ojczyźnie Nasz, daj mu wieczne odpoczywanie.

Jan Zygmunt prowadzi zapiski przy na wpół dopalanej świecy, która gorącym woskiem rozlewa się na nieheblowanym stole. Z tej płaczącej parafiny nic nie da się wywróżyć. Brakuje klucza. Brakuje wody. Wilgotne powietrze porusza ognikiem, który chwieje się na niedociętym knocie. Upiorne czarne cienie tańczą na ścianach szopy przemianowanej rozkazem na koszary. Ćmy jak pogubione dusze rozbijają się o drżące ręce i nieogolone policzki młodego podporucznika. Wreszcie trzeszcząc, płoną i opadają na kartki. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Jan Zygmunt uważa ćmy za duchy zmarłych.

Sąsiad Podwysocki, skulony na podłodze, bo na hamaku nie może się już utrzymać, jęczy o wodę. Wokół ust utworzył mu się nimb z czarnej krwi. Aureola, pod którą nieświeźnie umiera.

– Zbyszek?

– Wody... – odpycha kubek, który tamten przystawił mu do ust. –

Nie.

– To dobra woda.

– Słona. Jest słona.

– Zbych...

– Zabierz mnie z tego statku. Rekiny! Och, Jezus Maria! – bredzi.

Jan Zygmunt stchórzył. Musi stąd wyjść, bo i on zostanie pożarty. Pożarty przez To. Przez Nią. Przed szopą na stołku siedzi Lisiecki, jeszcze jeden podporucznik.

– Siadaj – wskazuje na pusty pieniek, w sam raz dla kata. Pieniek, który można objąć ramionami. Oprzeć nań brodę. Przymknąć oczy i w ostatniej chwili pomyśleć o Jabłonnym Sadzie, który, zdaje się, nigdy nie istniał. Takie kłamstwa opowiadają bębny.

– Nie milkną już nawet w dzień – mówi Lisiecki, jakby czytając w myślach Jana Zygmunta.

– Rytm nadaje żelazny *ogan*. Inne nazywają się: *maman, petite, rouler, seconde*. A *maman* jest najpotężniejszy.

– Skąd wiesz?

Jan Zygmunt tylko wzrusza ramionami.

– Napij się – Lisiecki podaje mu manierkę. Ten najprzystojniejszy, najodważniejszy z nich wszystkich jest teraz brudny, a koszulę ma niechlujnie połataną. Długie włosy opadają mu na kołnierz. Z naczynia śmierdzi bimbrem, który Polacy pędzą z bananów, z cytryn, gorzkich pomarańczy. – To pewniejsze niż woda. Zmiennicy znowu zlurowali martwych sztyldwachów. Teraz się żyje, za chwilę się gnije.

Śmieją się.

– No to zdrowie! – Bimber przepala gardło. Bimber pewniejszy od wody. To od wody wszystko się zaczęło.

– Co z tamtym?

– Myśli, że jest na statku.

– Aha. Tam przynajmniej miałby porządny pogrzeb, tu za nogę i do dołu. Tam ciało przystojnie wsunięto by w całun, zaszyto przy stopach. Z doczepioną kulą wielkiego kalibru po desce spuszczone do morza. Zamiast przeklętych bębnow żegnałaby go szczerza modlitwa.

– Andrzej, czy ty wierzysz jeszcze w Boga?

– Nie. A ty?

– Ja? – zastanawia się Jan Zygmunt.

Dwudziestego sierpnia na dwudziestym czwartym stopniu i kilku minutach szerokości geograficznej ucichł wiatr wschodni, który pędził okręty na Antyle. Morze zamieniło się w diabelskie lustro. Zaczęto racjonować wodę, która w dodatku szybko się psuła. Żółtą i śmierdzącą strach było wachać, ale oni ją pili. Upał wysuszał ich ciała na wiór. Żołnierze skakali za burtę, by się ochłodzić – słabi tonęli, inni byli pożerani. Zaczęli się dobierać w grupy: jeden wskakiwał w słoną wodę, drugi stał przy burcie i śrutem rozbijał tafłę diabelskiego lustra, by przepłoszyć rekiny.

– Te bębny rzucają na nas klątwę. Wzywają Żółtą Gorączkę. W San Domingo podobno ona jest Boginią.

Korzystam z odjazdu mego kuzyna Ornano, droga moja przyjaciółko, by powiedzieć ci, jak bardzo cię kocham, a poza tym chcę

się trochę nad sobą użalić: pisałam do ciebie już trzy listy, odpowiedzi nie dostałam na żaden. Klimat tu tak jest gorący i wilgotny, że prawie bez pszerwy źle się czuję. I strasznie się nudzę; to bardzo smutny kraj. Choroby uśmiercają wielu ludzi, ale szczęśliwie Leclerc i Dermide, a także ja chorowaliśmy tylko kilka razy. Leclerc prosi, abym ci przekazała, że bardzo chciał sprowadzić do siebie tutaj twego męża, a także i ciebie, ale ja opanowałam niezmiennie, widząc tu tyle horób i umarłaków, niepodobna nawet, byś mogła to sobie wyobrazić. Co do mnie, trzeba całego przywiązania, jakie żywię dla Leclerca, bym mogła pozostać w tym tak potwornym i smutnym kraju. Leclerc jest tak zajęty, pracuje dniem i nocą, gdyż wszystkim musi zajmować się sam; jego generałowie często psują mu robotę. Jest okropnie zmęczony, mam nadzieję jednak, że powodzenie go pocieszy. Doda mu jedynie więcej sławy. Czarni buntują się, ale Leclerc nauczy ich rozumu. Zresztą, kochana przyjaciółko, mogę cię zapewnić, że lubią nas tutaj, gdyż Leclerc postępuje zawsze sprawiedliwie... Kończę już, bo mnie boli głowa od tej przydługiej pisaniny. Gdybym słuchała tylko mojego serca, nie skończyłabym pisać nigdy, ale jestem słaba. Całuję CIA tak jak cię kocham, twoje maleństwa również. Twoja wierna na zawsze przyjaciółka – Paulina Bonaparte-Leclerc.

. . . .

Tej nocy, po opiciu się księżycówką, ma sen. Sen jest wspomnieniem. Jan Zygmunt znów siedzi w messie. Wokół rozchodzi się zapach kawy – słabej, gorzkiej, niedobrej. Na stole rozrzucone są pisma i mapy. Ktoś ostentacyjnie ziewa. Jest ich tu wielu; wszyscy z wyższymi szarżami, które zasługują na toast z tego czarnego, spienionego ulepku. Mocne stukanie o framugę.

– Wejść – nakazuje dowódca drugiego batalionu, Bolesta.

Wchodzi młody podporucznik. Chłopak jeszcze, prawie cudowne dziecko. Nazywa się Kieroj i pochodzi z Litwy; dawnej Litwy. Patriotyzm przygnał go tu, na morze. Patriotyzm i ta odrobina nudy, która może uczynić życie nieznośnym, kiedy się ma dwadzieścia lat.

– Słucham, podporuczniku. Z czym przychodzicie?

– Chciałbym zameldować, że umieram, panie kapitanie.

– Bzdury opowiadasz, mój chłopcze. Bądź spokojny, a żyć będziesz. Zdrów. Z kolegami zatańczymy jeszcze na twoim weselu.

Uśmiechamy się. Uśmiechamy się cicho, jakbyśmy byli kobietami, starymi dobrotliwymi ciotkami. Wdowami – to szczególnie rodzaj kobiet.

Kieroj ma mokre włosy, ale to, co w pierwszej chwili biorą za wodę morską (widać kąpał się o świcie), jest tłuste, lśni i pachnie jak pot. Taki zimny, że mógłby pokryć się szronem, jak czasem przydarza się to statkom, na przykład wokół przylądka Horn.

– Podporuczniku?

Sztywno obraca się, milczy, drżenie przebiega od jego ramienia aż po końce palców.

– Podporuczniku?!

Wychodzi z messy, ginie w cieniu korytarza. A później słyszą huk. Ciało upada, martwieje wraz z ostatnią myślą, ostatnim oddechem.

Ktoś szarpie Jana Zygmunta. Ten podrywa się, napięty jak struna, i z trudnością udaje mu się połknąć własny krzyk, bo jest przekonany, że został nawiedzony przez ducha.

– Śnił ci się koszmar – mówi Zbigniew Podwysocki. – Wybacz.

– Nie, wszystko dobrze. A co z tobą? – Jabłoński nie może się nadziwić, że znajduje tamtego w tak dobrej formie. Chodzącego o własnych siłach, z twarzą, która odzyskała normalny wygląd. Nie przypomina już wosku.

– Jestem głodny. I nie pamiętam, co się ze mną działo. Gdzie jesteśmy?

– W Le Môle St-Nicolas.

– A gdzie generał Leclerc?

– Może jeszcze w Cap-Français. Albo zabrał Paulinę z synem na Wyspę Żółwią. Tam jest tylko wyschnięta ziemia i czerwone skały. Nie ma ani bagien, ani nawet lagun. Według doktora Gilberta nie ma nawet komarów, więc jest bezpiecznie.

– A tu?

– Tak jak zwykle. Mają sprowadzić psy z Kuby.

– Bębny?

– Nie milkną. Nie słyszysz ich?

Zbyszek kręci palcem w uchu:

– To chyba od gorączki...

Milczą; przychodzi Lisiecki.

– Jestem głodny – powtarza Podwysocki jak dziecko.

– Zaraz się tym zajmę. A ty, Jabłoński, idź się przewietrzyć. Coś zjedz. – Brwi ma ściągnięte i nieświadomie porusza nozdrzami jak wtedy, kiedy próbuje zapanować nad gniewem.

– Ale to ja jestem głodny!

– Idź już, Janek.

– Ale...

– Wczoraj ty nad nim czuwałeś. Teraz moja kolej.

Jan Zygmunt się kłania.

Legiony zlikwidowano na mocy traktatu lunewilskiego. Kwaśna ślina zbiera się Jabłońskiemu w ustach. Austria i Francja zobowiązały się do niepopierania wrogów wewnętrznych. Zbędną piechotę naddunajską Władysława Jabłonowskiego Bonaparte zamierzał oddać na służbę Królestwa Etrurii. Znowu Włochy! Napoleon rozmyślił się jednak, kiedy Murzyn Toussaint wzniecił we francuskim San Domingo powstanie i proklamował niepodległość całego Haiti. Polaków wysłano do portu Livorno, gdzie pułkownik Bernard zamustrował ich na trzynaście okrętów kupieckich. Całą sto trzynastą półbrygadę po jednej, dwie kompanie na okręt. Wyprawie towarzyszyła zła gwiazda. I wciąż towarzyszy. Piąta i sześćdziesiąta ósma półbrygada – sami Francuzi – stanęły pod bronią i dopilnowały, by sto trzynasta bez szmerów i bez zamieszek zajęła swoje nowe miejsca. To było upokarzające. Węszyli w tym podstęp tej starej wiedźmy Austrii. Strzeżonymi szalupami płynęli do okrętów. Na pokładzie złożyli broń, złożyli mundury. Rozeszła się wiadomość, że Napoleon wysłał na San Domingo swoją rodzoną siostrę (Paulinę – tę najpiękniejszą) i szwagra generała. Tamci popłynęli z Brestu. Paulina miała kaprys, by z Paryża dostać się do Brestu w lektyce. Powiedziała bratu, że jest w ciąży (znowu). Wyśmiał ją. Rozplakała się. Żeby ją pocieszyć, obiecał Raj. *Żona dowódcy korpusu także poczęła wierzyć w owe miraży. Urzeczona magią tropików, wydawała się sobie podobna do królowej Saby, podróżującej w palankinie, niesionej przez niewolników, których ciało lśniło brązem, wachlowanej palmowymi liśćmi,* napisał Salques. Jan Zygmunt, nawet

już tu, w Port Republican, potrafił dzielić z nią to marzenie. *La Reine de Saba*.

Jęknął głośno. Potrzebował kobiety, jakiegokolwiek kobiety.

Otrzymałem twój list, moja droga, mała Paulinko. Pomyśl, że trudy i zgryzoty są niczym, jeśli dzieli się je razem z mężem i jest się użyteczną swojej ojczyźnie. Spraw, by cię kochano za twoją uprzejmość, twój wdzięk, a także nienaganne prowadzenie się. Bądź zawsze konsekwentna. Sporządzamy tu paczkę z żurnalami mój dla ciebie, które przywiezie ci kapitan „Syreny”. Bardzo cię kocham. Dbaj, by wszyscy wokół ciebie byli zadowoleni, i bądź godna twojej pozycji – Bonaparte.

. . .

Jan Zygmunt idzie nad morze. Znowu wspomina: to zdumiewające, że właśnie dzięki rozmazanym wspomnieniom świat nabiera tu realności. Krok po kroku dali się wrobić w tę hecę. Wypłynęli z Livorno, a dwie gwałtowne burze, jedna tuż po drugiej, zniosły ich do Malagi. Nazajutrz byli już w Kadyksie. Otwierała się przed nimi przygoda, a mdłości zaczęły ustępować. Chłopcy prowadzeni przez mężczyzn. Nikt nie wspominał śniegu ani polskich dworków, nawet jenerała Dąbrowskiego. Życie toczyło się chłodnymi nocami, wokół kart, domina, kobiet. Północnowschodni wiatr przeprowadził ich wokół cypla Tangeru. Dziesięć statków, bo dwa zatoneły, a jednego nie dało się obsadzić. Później ku południu: przepłynęli pomiędzy Maderą a Wyspami Kanaryjskimi. Obok Hierro przecięli pierwszy południk. Piątego września 1902 roku na Zwrotniku Raka chłopcy i mężczyźni dali się ochrzcić w imię Neptuna. Napoleon, ich bóg wojny, nie mógł być o to zazdrosny. Ale byłby. Och, byłby. Jak i o swoje kurczęta, które z utraconymi dziobami i pazurami woził wszędzie ze sobą, by mieć co włożyć do garnka.

Jan Zygmunt widzi, że wszyscy w tej podróży wychudli. Tu, w Le Môle St-Nicolas jest jeszcze gorzej. Podpułkownik – krok za krokiem – ma przed oczami obraz szeregowca tak wyniszczonego, że obwisła skóra zaczęła zawijać mu się pod żebra. Jan Zygmunt jest głodny, ale owoców nie tknie. Są obce. Brakuje mu jabłek, bo tutejsze jabłonie nie rodzą. Polacy wyłapali wszystkie błakające się po lesie dziczące świnię i je

zjedli. Z urwiska patrzy na kozy hasające po brzegu. Ten widok jest nie na miejscu, szczególnie że sam sobie z nimi nie poradzi. Chyba znowu złamał regulamin; zaczepia bagnet na broń. Rzucić – nie rzucić? Tylko się wygłupi, jak oni wszyscy. Krok po kroku.

Dziesiątego października minęli przylądek Samana, dwa dni później wpłynęli do zatoki Manzanilla, popołudniem rzucili kotwicę w porcie Cap-Français – ani generał Leclerc, ani nikt inny nie przyszedł ich powitać. Czekali.

I on teraz czeka; czeka na cud, gapiąc się w morze. I oto cud się wydarza.

. . . .

Obywatelu konsulu, każdego dnia liczba zbuntowanych rośnie, a moich żołnierzy zmniejsza się. Osądź, czy moje prośby są niewłaściwe... Każdego dnia buntownicy atakują na równinie, palą, strzelają... Nie mogę podjąć ofensywy. San Domingo będzie stracone, jeśli nie otrzymam do końca miesiąca 10.000 ludzi. (Wiktor-Emanuel Leclerc).

Przyczają się, podświadomie, jak czynią to drapieżniki, kiedy spostrzeżę, że dołem po plaży idzie dziewczyna. Młoda dziewczyna, dziecko prawie. Czarna, ubrana w niebieską sukienkę. Bosa. Widać przywykła do gorącego piachu, parzącego te delikatne jaśniejsze miejsca między palcami. Jan Zygmunt rejestruje to wszystko w jednej chwili.

Dziewczyna przystaje i zaczyna rozpinać stójkę sukni, coraz niżej, odpina dalsze guziki. Nie nosi bielizny. Młoda, silna, gibka. Czarna klaczka, może urodzona właśnie tutaj? Na pewno. Jest zbyt łagodna i pewna siebie jak na niewolnicę z Afryki.

Rzuca kamyk w wodę, a Jan Zygmunt nie potrafi rozszyfrować tego gestu. Jeszcze nie. Ona powoli wchodzi w fale jak jakaś morska bogini. Ochlapuje się. Wierzga nogami. Unosi twarz, zaciska powieki i z konchy złożonych dłoni leje morską wodę na krótkie włosy.

To nie koniec niespodzianek, bo zza wydmy wyłania się jeszcze jeden podłotek. Kreolska panna, w czepku, obowiązkowych mitenkach na rękach przytrzymujących kościaną rączkę kremowej parasolki. Kremowa jest suknia (wykończona żółtą falbanką), podobnie buciki.

Oraz mały wydziergany woreczek, zawieszony na szczupłym nadgarstku... Jan Zygmunt niby widział tyle kobiet, a wciąż nie może wyjść ze zdumienia, że prawie się nie pocą i nie mdleją. Umundurowane przez swoich mężczyzn (ojców, braci, mężów; a każdy jest generałem w stęchłych rodzinnych koszarach) oraz stare ciotki, które noszą przy pasie klucze do spiżarni.

Kreolka zawija spódnicę wokół nóg (Jan Zygmunt myśli o nich: zgrabne) i wdzięcznie udaje jej się usiąść na plaży. Jest wytresowana, nie garbi się, nie obejmuje rękoma kolan, tylko wypinając ledwie rozkwitłe piersi (dopełnione w staniku parą zgniecionych chusteczek), opiera się na dłoniach. Ramiona drżą, a ptasie łopatki ocierają się o siebie.

I ona, i wciąż ukryty Jan Zygmunt patrzą na kąpiącą się, która nurkuje jak foka, wyrzucając wydatne murzyńskie pośladki.

Lisiecki blokuje przed Janem Zygmuntem wejście do szopy. Trzyma się prosto, oczy nie lśnią mu chorobliwie jak zwykle. Coś musiało nim wstrząsnąć, że tak nagle otrzeźwiał.

– Nie wchodź tam.

– Dlaczego?

– Zbyszek umarł.

– Słucham?

– Zbyszek, nie żyje.

– Już?

– Tak bywa w tej chorobie, że przed samym końcem przychodzi fałszywe ozdrowienie... Nie wchodź tam, Janek, zapamiętaj go takiego, jaki był rano.

– Niech cię diabli, Lisiecki – czuje oszołomienie i strach. Strach o samego siebie. Zapach śmierci, teraz jest tego pewien, sący się szparą pomiędzy futryną a krzywymi drzwiami. Raz czy dwa Jan Zygmunt napiera na towarzysza – tylko po to, by nie stracić twarzy. Twarzy... Maski... Nie chce oglądać śmierci. Nauczył się, że zawsze jest taka sama. Och, jak dobrze się nauczył! Zna to na pamięć.

– Zapłaciłem tutejszym kobietom, żeby go ogoliły i umyły – prowadzi go na bok, sadza na własnym stołku. Jakby w idealnym wycuciu dramatycznego czasu z szopy wychodzi stara Murzynka. Dźwiga wiadro, na powierzchni czegoś, co bardziej przypomina szlam

niż wodę, unosi się martwa gąbka. Śmierć obmyta śmiercią.

– *Vomito negro* – nazywa rzecz po imieniu.

Lisiecki kiwa głową, za szybko, zbyt wiele razy. A później mówi w mieszance francuskiego i kreolskiego. Mówi do tej Mandinga, urodzonej w Afryce, albo choćby tam poczętej. Stara musi mieć ze sto lat. Na palcach można policzyć wiosny, od kiedy jest *hommes de couleur libres*. Cokolwiek to dla niej znaczy, na tej wyspie, gdzie tylko biali, tacy jak Napoleon, potrafią liczyć, a wiosna nie przychodzi nigdy, bo rok dzieli się tu tylko na dwie pory: suszę i deszcz.

– *Ave Maria Purissima*.

„*Papa Legba, l'ouvri barrié-a pou moin, agó yé*

Papa Legba, l'ouvri barrié-a pou moin, pou moin passé”.

Nocą Andrzej Lisiecki znowu jest pijany, a Podwysocki leży w grobie – jeden pomiędzy setką tych, których dziś zabrała gorączka *vomito negro*.

Ogan popędza bębny. *Ogan*, żelazny pług, który czarni przekuli, by odpowiednio rezonował pod uderzeniami. „Pług, sierp, kosa” – pozornie nieskładne myśli przelewają się przez umysł Jana Zygmunta Jabłońskiego. Odnajduje swój pniaczek.

– Murzyni sądzą, że Polacy jedzą ludzkie mięso. Tak im powiedzieli Francuzi – rzecze Lisiecki. – Napisałem list do rodziny Podwysockich. Napisałem, że Zbyszek umarł w zacieklej walce z czarnymi rebeliantami. Właśnie tak, „w zacieklej”. Miał śmierć żołnierza. Pewnie go odznaczą.

Nosi przewiazaną czerwoną wstążkę. Wstążka przytrzymuje tłuste włosy i odpędza duchy... Nikt na tej wojnie nie dba o żołnierską etykietę; dobra zaprawa przed Moskwą 1813, oczywiście gdyby Napoleon wziął w niewolę *brokor*, który potrafi ożywiać trupy.

Jan Zygmunt dotyka opaski towarzysza. Tak delikatnie, jak w innych warunkach mężczyzna raczej nie ośmieliłby się dotknąć mężczyzny.

– Przecież ty nie wierzysz?

– Może każdy kraj ma swoich bogów i to do nich trzeba się zwracać?

– Ale to by znaczyło, że Jeden Bóg nie istnieje!

Tamten wstaje chwiejnie, by dolać sobie księżycówki.

– Właśnie! Właśnie!

Znowu bębny. Bębny „na zawsze”, niemilknące nawet na jedno uderzenie serca. Bębny jak bogowie. Co krzyczą? Co one krzyczą? Straciły niewinność; te, które stworzono do nadawania rytmu, kiedy czarni na plantacjach tłukli kukurydzę, ścinałi trzcinę cukrową. Rodzili się, żyli i umierali jako czyjaś własność.

On leur fera bouffer du nor!

Psy sprowadzają z Kuby. Nim w zasięgu koszar pojawia się pierwsza sfora, z daleka słyhać już ujadanie z piekła rodem. Wy macie bębny. My mamy psy. Wasze bębny sprowadzają na nas żółtą febrę, nasze psy żrą murzyńskie mięso. Uczono je tego od małego, dlatego były takie drogie i przyplłynęły na statkach, jakby na San Domingo nie było dość kundli. Molosy. Każde dwa trzymane przez białego żołnierza, wszystkie – suki i psy – z kolczastą obrozą na szyi.

– Czy to pewne, że nie ruszy Kreola?

– Och tak, tak. To dobre psy.

– A Mulata?

– Nie wiemy. Podobno potrafią wywęszyć nawet kwarterona. Suki atakują Murzynki, psy ich mężów.

– Jest w tym pewien porządek.

– Suki są wierniejsze.

– A to dobre!

Kilka białych kobiet odesłano do Francji, bo zostały schwytane na nierządzie z czarnymi. Były tak napalone na ich fioletowe instrumenty (ponoć sięgają kolan, co jest nieprawdą: Lisiecki obejrzał kilku), że wszystko im było jedno, iż mogą za jakiś czas spędzać mulackie płody.

Psy prowadzi się tak, by szerokim łukiem minęły koszary przeznaczone dla czarnych szeregowych Napoleona. Ziemia drży pod ich łapami, kiedy mijają szopę Jabłońskiego i Lisieckiego. Ktoś z generalicji macha na podpułkowników, żeby poszli z nim. Wyżsi szarżą idą do areny, otoczonej grubymi drewnianymi palami i belkami, która w gotowości czeka na krwawe widowisko od dobrych paru dni.

– Miejmy nadzieję, że się na nic nie pochorują.

– Trzeba by odłączyć szczenne suki, jeśli już takie są. Dajcie mi tu

jakiegoś psa. I Murzyna, przyprowadźcie zdrajcę Murzyna.

– Kto się zakłada? O ile? Lisiecki?

– Jestem Polakiem, ale nie głupcem.

– Wy wszyscy w gorącej wodzie kąpani.

W powietrzu unosi się zapach podnieconych samców i rozgrzanej psiej sierści.

Jan Zygmunt, który w Jabłonnym Sadzie wychowywał się z psami, który kocha psy (a ludzi jeszcze nie), wkłada rękę między palisadę.

Spuszczony na arenę molos podchodzi, obwąchuje go, zaczyna się łąsić.

Ciężki ogon bije o piasek. Jan Zygmunt uśmiecha się, kiedy brytan zaczyna lizać go gorącym, miękkim językiem po przeżartych prochem palcach.

– Wygrałeś – rzecze z przekąsem Lisiecki.

– Pies to pies.

– Tak, oczywiście.

– To my je uczyniliśmy takimi, jakie są. My, ludzie.

– A wiesz, jacy są ludzie?

Silnego Murzyna (miał być silny, żeby nie poszło zbyt łatwo) ciągnie czwórka strażników. Tamten krzyczy, coś bełkocze. Opaskę biodrową ma upapraną gnojem, muchy obsiadły mu plecy poprzecinane rzemieniem.

– Po co te komedie. Murzyni boją się psów, wystarczy im go pokazać.

– Nie wiesz? Tutaj jednostka psiarzy jest ważniejsza od artylerii – ktoś kpi.

Śmiech pełen zmęczenia. I cisza.

Po śmierci Podwysockiego szopa jest dla nich za duża, ale nie ma kogo dokwaterować. Szeregowca nie wolno, a kapitan Dogua, którego chcieli poprosić, by przeniósł tu swoje buty – bo wiadomo było, że dobrze gra w karty i nie bawi się w szulerkę – otrul się.

– Prawdziwy żołnierz strzela sobie w łeb. A co dopiero generał.

– Nie był generałem.

– Leclerc na nim poległ. Wszystko mogło się zdarzyć.

– I zdarzyło się. – Lisiecki z Jabłońskim są przekonani, że jeśli dotąd nie umarli na żółtą febrę, to już nie umrą.

– Jak ocaleje setka nas z całego drugiego batalionu sto trzynastej półbrygady, to wszyscy hurtem powinniśmy iść na kolanach do Częstochowy.

Nie rozmawiają ani o pierwszym batalionie (ten jest Leclerca), ani o trzecim (ten w Port-au-Prince pod dowództwem generała Boudeta). W ogóle częściej niż kiedykolwiek milczą. Lisiecki nie mówi o wygranych w karty, Jan Zygmunt trzyma w tajemnicy kobiety, które widuje na plaży – niby kryją się tuż za wydumą, ale tak naprawdę on zaczął uważać obie za własność. Wyobraża sobie, że wszystko co robią, robią dla niego. Przez to czuje się człowiekiem wartościowym, człowiekiem bogatym. Ojciec za takie myśli dałby mu w twarz.

Część białych kobiet w koloniach, zaniedbana przez mężów, zgnębiona niemodnym krojem sukni i modląca się o powrót, sypia ze swoimi Mulatkami. To bezpieczne, tym bardziej że takie plotki podniecają mężczyzn, a nie czynią zeń zazdrosnych kochanków. To słodkie. Tylko kobieta wie, jak dogodzić kobiecie. Jedna pustka zaspokaja drugą, potem w niemodnej sukience można chodzić jeszcze tydzień, miesiąc, rok. Dopóki czarni mężczyźni nas stąd nie wyrzucą!

Kreolka i jej *cocotte* – taką prowokację smakuje Jan Zygmunt na języku. Czuć ją pomarańczowym bimbrem i morską pianą.

Szopa jest za wielka, ale Andrzej Lisiecki z uporem i gorliwością godną lepszej sprawy zapełnia ją masą śmieci. Honorowe miejsce na ścianie zajmuje stępiała szabla, wyciągnięta z grobu jakiegoś monarchisty. Czerwone wstążki (bez liku, na każdym kroku), podkowy, łyżeczki połączone na krzyż drutem, które kiwają się nad hamakiem.

– Co ty wyprawiasz?

– Modlę się.

– To nieprawda. Co to za gusła – Jan Zygmunt jest zdenerwowany.

– Odpędzam Barona Samedi i inne demony cmentarzy. *Les mysteres.*

Jabłoński chce coś burknąć groźnie, ale w końcu milknie i wychodzi na wieczorny spacer. Bębny i ujadania skomponowane w jedno. *Credo*: wierzę w nie, bo nie jestem głuchy. Marzy, żeby marzyć.

Postanawia przychodzić na plażę codziennie. Za wszelką cenę!

Czekać. Czekać, aż w końcu przyjdą obie, pasujące do siebie jak pola na szachownicy. Królewska gra! Jan Zygmunt się tym upaja. A także swoją młodością, ich młodością, solą, słońcem... W koszarach panuje takie rozprężenie, że może bezkarnie pozwolić sobie na podobne wycieczki. Będzie ocalony, chyba że jego ślad zwęszy jakiś murzyński buntownik (Haitańczyk walczący o niepodległość, co Jan i wszyscy pozostali Polacy wypierają z myśli) i go zabije. Wyobraża sobie taką śmierć przez zadżganie nożem. Tak jak wyobraża sobie miłość z tamtymi dwiema. Jest jak Odyseusz opętany przez syreny.

Poznał już uliczne kobiety, miłość zawsze szybką, zawsze w ubraniu, ciała tłukące się po zaułkach. Podziwiał nagość na obrazach Davida, te łabędzie szyje, te bezwłose pachy, łona... Teraz jego oczom, jego zmysłom przydarza się coś innego. Kreolka pewnego dnia też się rozbiera i obie wyglądają, jakby tańczyły na falach, jakby falom się oddawały. To zawiera w sobie prawdę, której Jan Zygmunt zawsze szukał. Prawdę bezkompromisową. Jest nią zauroczony... Jest zauroczony kroplami wody, które lśnią jak diamenty na ciemnych włosach łonowych, kiedy Kreolka wychodzi z morza i kładzie się na piasku.

. . .

Otrzymałem twój liścik, droga siostrzyczko, dowiedziałem się z przyjemnością, że odważnie znosisz trudy związane z prowadzeniem wojny. Dbaj o twego męża, który, jak mi tu mówią, jest nieco niezdrów, nie dawaj mu też żadnych powodów do zazdrości. Dla mężczyzny, który ma masę zajęć, wszystkie minoderie stają się nieznośne. Żona powinna być dobra i współczująca, nie powinna też niczego wymagać. Mąż twój jest teraz naprawdę godny tego, by nazywać się moim bratem, dzięki odwadze, jaką wykazuje, talentom wojskowym i zasługom, jakie ponosi dla ojczyzny. Bardzo cię kocham. Bądź zdrowa. Bądźcie zawsze złączeni miłością i czułą przyjaźnią. Moja żona przesyła ci żurnale; jest teraz w Plombières. Kocham cię. – Twój brat N. B.

Cap-Français, odsłona pierwsza... Wpływają do portu. Śmierdzi zgniłymi wodorostami i czymś jeszcze, czymś nieokreślonym. Paulina, stojąc na pokładzie „Oceanu”, nie wie jeszcze, czy przed roztaczającym

się widokiem powinna uchronić synka Dermide'a. Pochylić się i zakryć mu oczy dłońmi, jak w zabawie. Czy raczej, będąc drobną, stanąć na czubkach pantofli i opuścić powieki Wiktorowi-Emanuelowi. Przy Leclercu zbierają się oficerowie. Do woni rozgrzanego popiołu, strachu i zagotowanej krwi dołącza się zapach kadzidła, bo kapelan ustawia ołtarz polowy na rufowej przybudówce. „Módlmy się za bezpieczne przepłynięcie Zatoki Gaskońskiej”.

Stolica jest spalona. To po pierwsze. Rebelianci Toussainta wycofali się w góry, niszcząc wszystko po drodze. Na ogromnych liściach bananowca leży kawa. Wiatr ją rozrzuca wokół. Dalej zniszczone młyny, opuszczone plantacje trzciny cukrowej. W Cap-Français bez szwanku z zamieszek wyszły tylko psie rekinki, grubą solą zasypane w beczkach.

– Módlmy się.

Śnijmy, kiedy modlitwa przestanie wystarczać. Do Pauliny Bonaparte powróci delikatność powiek Leclerca, schowana pod groźną krzaczastością brwi. To wrażenie. Rozpozna swój dotyk; choć nie tknęła męża w porcie, to nieraz w miłosnym uniesieniu zakrywała mu oczy, kiedy tak patrzył na jej drobne, smagłe ciało korsykańskiej ślicznotki. Chciał patrzeć.

– Módlmy się.

Zamknęła mu oczy, ze śmiechem.

Budzi się w nocy, kiedy Cap-Français zna już na pamięć, a Leclerc w pokoju obok drży toczony gorączką, na którą ten nieubłagany Gilbert zaleca dawki rabarbaru.

– Modlę się. Chciałabym bracie, żeby trafił cię szlag.

Świat zachowuje chronologię: najpierw się rodzisz, później umierasz.

Mówiłam jej, że będzie tam królową, że będzie jeździła w palankinie; że niewolnice będą śledziły każde jej najmniejsze skinienie, by wypełnić jej wolę; że będzie spacerowała pod kwitnącymi drzewami pomarańczowymi; że nie powinna obawiać się węży, gdyż na Antylach ich nie ma, tak jak nie ma powodu bać się już dzikich, bo nie tam przygotowuje się rożen do pieczenia ludzi; i zakończyłam moje perswazje przypuszczeniem, że będzie prześlicznie wyglądać w kreolskim stroju.

Madame d'Abrantès [przyjaciółka].

W końcu biała dziewczyna zauważyła podglądacza. Stał się zbyt nieostrożny, a może promień słońca niefortunnie odbił się od czubka bagnetu? Nieważne. Kreolka zrywa się z piasku, jedną ręką poprawia troki przy czepku, drugą popycha perkalową suknię w stronę służącej. Nagiej, schnącej na wolnym powietrzu, aż na skórze występują linie od soli.

Panienska pnie się wydmą pod górę. Za chwilę oprze bućki na urwisku. Jan Zygmunt stoi jak wrośnięty w ziemię. Ta twarz, którą musiał sobie wyobrażać, ukrytą przez odległość i cień, nagle przybliżyła się doń coraz wyraźniejsza, coraz piękniejsza.

Tak jak stał, przewraca się na ziemię; poniechawszy broni. Zakrywa głowę, podciąga kolana do piersi, wije się. Pożądanie i strach, że może stracić swoją syrenę, czynią zeń epileptyka.

– Jan Zygmunt. Jan Zygmunt Jabłoński – potrafi tylko wydukać imiona, jakie zmarli rodzice dali mu na chrzcie.

Młodziutka kobieta przygląda mu się uważnie, milczy. Nie tego się spodziewał. Wreszcie tamta się śmieje, niedbałym gestem przywołuje czarną towarzyszkę.

Jan Zygmunt nieruchomieje.

– Na imię mam Paulina Waleria – odzywa się po francusku. – A ona tam to Tituba.

– Paulina Waleria – z czcią powtarza Jan Zygmunt. Głos brzmi uroczyście, jak u człowieka, który właśnie poznał wielki sekret.

– Jak siostra Konsula... – dodaje kobieta, myśląc, że ten blondwłosy, opalony słońcem na czerwono Polak nie bardzo zrozumiał. Równocześnie wyciąga rękę, by pomóc mu wstać.

– Tak, wiem. Paulette – odzywa się mężczyzna, kiedy ich palce się stykają.

Niech cię błogosławi kobieta, która stopą rozgniata węże.

Paulina Leclerc oszukana. Może nie ohydnie, może nie bez skrupułów, ot, ze zwyczajnej głupoty. Chodzi o to, co Madame d'Abrantès powiedziała jej o węzach...

Na Haiti są węże. Są bogami czczonymi przez czarnych. Wąż jest bogiem wudu.

Tuż przy rezydencji Leclerców przezornie ukryta jest haitańska świątynia: *hounfor*. Jej sklepienie przytrzymuje centralny spiralny słup, będący symbolem Damballaha, mądrego węża, którego ciało łączy Ziemię z Niebem.

Na San Domingo oswojone węże karmi się pochwyconymi, piszczącymi szczurami.

Święty Patryk, kapłan, którego rzeźbione stopy stoją zanurzone w węzach, jest tu ich panem i władcą. I może przepoczwarzać się w każdego z nich; ale tego Paulina nie wie.

– *Madame* – wita ją czarna służąca Marinette, a jej twarz wygląda jak hebanowa maska. Paulina nie rozróżnia Murzynów, nie odróżni kolorowej staruchy od kolorowego dziadka, dlatego wszyscy oni są jak rój obdarzony jedną świadomością. Jednym ciałem nawet – *madame* Leclerc jest skłonna podejrzewać wszystkich o dar bilokacji. Jedno ciało, które jest równocześnie w tylu miejscach. Paulina, po nieprzespanej nocy, bez makijażu i w szlafroku, tegoż poranka wygląda bardziej niż zwykle na tą, którą jest. Wystraszoną i pogubioną kobietę, jeszcze nawet nie dwudziestoletnią.

– Znalazłam to pod łóżkiem, kiedy sięgałam po nocnik – pokazuje rękę, którą dotąd trzymała za plecami. Palce tak zaciśnięte, że prawie z kłykci odpłynęła krew, ściskają odrąbaną kurzą łapkę. Przewiązaną czarną wstążką.

– To nic, *madame*. Proszę mi to oddać.

„Oddać?”

– Powinnam pokazać Leclercowi... – waha się. Przychodzi nagła chęć na ziewanie. Jest jeszcze prawie dzieckiem.

– To nic nie znaczy – kłamie Marinette; ledwo wczoraj sama podrzuciła nóżkę pod łóżko. Poplamiony biały puch pod kremowe jedwabie.

– Powinnam o tym powiedzieć mężowi...

Nie zrobi jednak nic.

Molos, najstarszy i najbardziej cięty w stadzie, zagryza białego. Białe mięso też potrafi smakować i nie jest – pomimo barwy – wyprane z krwi. Prawdę powiedziawszy, pomiędzy krwią białego a czarnego nie ma większej różnicy; o ile w ogóle jakaś jest.

Dobosz, chcąc się pobawić z psem i nieopatrznie biorąc go za jakiegoś kundla ze swojej prowansalskiej wioski, przekracza linię boksu w psiarni. Na ramieniu ma niezagojoną jeszcze ranę, zdobytą w jakiejś marnej potyczce. Jest z niej bardzo dumny.

Więc znowu wszystko zaczęło się od krwi. Bonaparte zabrał ze sobą tego chłopca, siedmioletniego bękarta, a jego armia nadała mu pierwsze nazwisko. Zniknęła zmaza nieprawego pochodzenia. Później pożądał jej Konsul; teraz psy. Dał nam przykład Bonaparte! Molos zaczyna zjadać dobosza od palców... Dalej idą uszy.

. . . .

Chodź. Zrób krok. Nie bój się. Woda jest przyjemnie ciepła.

Jan Zygmunt niezdarnie pozbywa się munduru. Skrępowany czuje swój zapach, palcami próbuje przywołać do porządku wojujące przyrodzenie. Dziewczęta się śmieją. Sprawnie, jakby wszystko już było umówione, biorą go pod ramiona i ciągną w wodę. Traci grunt pod nogami. Krztusi się. Pływak z niego żaden. Żaden kochanek. Łapie na oślep miękką pierś. Paulette podtrzymuje jego głowę. Słone pocałunki, słodsze od jesiennych jabłek. Jan Zygmunt wypuszcza nasienie do wody i w czymś na kształt delirium myśli o rybkach, które się nim nakarmią... Tituba nabiera powietrza w płuca i nurkuje. Bąbelki rozpryskują się na powierzchni, kiedy tam na dole go pobudza. Z lśniącą twarzą wypływa na powierzchnię, zanurza się ponownie. Jan Zygmunt jęczy. Nagle Paulette zanurza rękę, głęboko aż po ramię, dotykiem nakazując tamtej przestać. Później zamieniają się miejscami, Tituba przytrzymuje kochanka, a Paulette bierze go w siebie, łapiąc okrakiem; dla równowagi dłonie przytrzymuje na hebanowych obojczykach służącej. Wypierani wodą, kołyszają się we trójkę; jednym rytmem. Jan Zygmunt zaciska oczy i czuje, że kocha się z całym oceanem.

Jan Zygmunt zgłasza się do tego zadania na ochotnika. Nie musi wcale podchodzić do ogrodzonej areny, żeby wiedzieć, że oto spełniają się jego najgłębiej ukryte obawy. Pies, który miota się na uwięzi, to ten sam, który pieścił jego rękę. Jan Zygmunt nie może traktować go inaczej niż jak przyjaciela; jak kochanka. Molos też go rozpoznaje. Bije ogonem o piasek. Skomli. Prosi o łaskę? Czy rozumie? „Zagryźć dobosza,

zagryźć Murzyna, co to za różnica? Ale ja ciebie, człowieku, wybrałem, ciebie bym tylko całował po rękach”.

Jan Zygmunt postanowił, że psa nie zastrzeli. To by było zbyt proste. Chce przejść przez tę śmierć od początku do końca. To będzie jego kara. Psy nie mają imion, za to on chce poznać swoje własne. Inne niż to nadane po ojcu. Własne!

Przeskakuje przez ogrodzenie. Słyszy, jak ktoś ostrzega go po francusku, że to niebezpieczne. Jan Zygmunt łapie się na tym, że zaczął już myśleć w tym języku. Skinieniem ręki odprawia wszystkich gapiów. Ta praca, praca, którą ma do wykonania, wymaga skupienia. Mógłby zgnieść czaszkę, zdruzgotać kręgosłup molosa, jeśli z całych sił uderzyłby go belką wyrwaną z palisady. Pewnie mógłby to zrobić, ale to niegodne.

– Piesku. Piesku mój – po polsku.

Molos otwiera pysk, pewnie z upału, ale wygląda to tak, jakby się śmiał: „Się masz, Janie Zygmuncie”. Zabawnie porusza uszami, kładzie się na plecach, nadstawiając goły brzuch do pieszczot. Jan Zygmunt klęka. Siada obok zwierzaka w piachu. Ich oczy, zęby są na tej samej wysokości. Molos liże go po twarzy. Mężczyzna obejmuje swojego przyjaciela, swojego kochanka, swojego psa. Czuje respekt przed jego pięknem, przed siłą jego mięśni, przed miękkością sierści. Zakochuje się. Pod płasko położoną dłonią czuje, jak mocno i regularnie bije serce tamtego. Maszyna życia. I właśnie wtedy podejmuje decyzję. Sięga do tyłu, za pas, po bagnet. Robi to szybko, wdzięcznie, bo wie, że zhańbiłby się ostatecznie, gdyby przysporzył światu więcej cierpienia, niż to potrzebne. Niż to konieczne. Molos opiera głowę na jego ramieniu, a on czuje ciepły, wilgotny oddech, który uchodzi z pyska tamtego. Nie jest to nieprzyjemne. Kiedy pies lekko unosi się na tylnych łapach, Jan Zygmunt wbija mu bagnet w lewy bok. Myśli o włóczni. Myśli o oprawcach Chrystusa. Układa zwiotczałe psie ciało na swoim biodrze i czeka. Czeką, aż to się na pewno skończy.

Spodnie ma sztywne od krwi. Zaskorupiały pancerz opina mu podbrzusze, biodro, przykleja się do krótkich, złotych włosów na udzie. Nie pozbywa się go. Ludzie – żołnierze – schodzą mu z drogi, jest taki zmieniony. Zdumiewające i chyba wstrętne jest to, że morderstwo tego

psa wstrząsnęło nim bardziej niż zabójstwo jakiegokolwiek człowieka. Nawet słowo, które dobiera do myśli: „mordowanie”, brzmi znacznie bardziej cierpko, bardziej wyraziście od „zabijania”. Wyczuwając serce molosa, odsłonił swoje własne. Przed sobą samym dotąd ukryte. Świat od dzisiaj będzie się dzielił na „przed” i „po”. „Jestem przeklęty”, myśli. Widzi siebie jako starożytnego kozła ofiarnego, na którego kapłan składa wszelkie przewinienia ludu i wypędza go na pustynię. Do krainy złego ducha, Azazela. Tyle że on nie został wylosowany spośród innych kandydatów, on sam się zgłosił... Jan Zygmunt Jabłoński.

Chwiejąc się i śmierzając, wchodzi do koszar. Oszałały Lisiecki, rozsypując mąkę, kreśli magiczne znaki na polepie. *Vévé wudu*. Wąż pożerający własny ogon. Symbol kosmicznej doskonałości wszechświata. I Cap-Français należy do tego świata, i Le Môle St-Nicolas, i wreszcie – Jabłonny Sad.

– Daj, pomogę ci – mówi do Lisieckiego.

Tamten przesuwa się na czworakach, robiąc mu miejsce. Za chwilę Jan Zygmunt popatrzy na swoje dłonie. Będą białe od mąki, z brunatnymi półksiężycami skrzepów wokół paznokci.

Drugi nasz batalion, pod dowództwem starszego Bolesty, zostawiwszy jedną kompanię na załodze w Le Môle St-Nicolas, ruszył z Dessalines'em, dowodzącym dywizją Murzynów, ku Gonaïves.

Gdy Dessalines oswobodził pozornie tę część departamentu od Le Môle St-Nicolas aż do St-Mare, pozostawało mu tylko przerwane dotąd związki z miastem Port-au-Prince na nowo otworzyć i rozdzielone siły skoncentrować.

W kilka dni po przybyciu naszym do St-Mare Dessalines z całą dywizją Negrów przeszedł w nocy na stronę powstańców, będących pod dowództwem naczelników Henri Christophe'a i Pawła Louverture'a, brata Toussainta-Louverture'a, w okolicy Vervetes. Nie zdążył jednak batalion jeden, złożony z 400 Czarnych, udać się w pochód za Dessalines'em, którego zdrada dopiero za nadejściem dnia spostrzeżona została. Niepodobna było jednemu batalionowi naszemu utrzymać w karności kilkaset Murzynów; nie pozostawało nic innego, jak tylko wytepić ich aż do ostatniego. Wykonanie podobnego zamiaru wymagało śmiałego i szybkiego działania. Generał Fressinet, nasz dowódca,

rozkazał wystąpić Murzynom do apelu, jak zwyczajnie bez broni; gdy na placu stanęli, batalion Bolesty, z bronią w ręku otoczył ich niespodzianie i co do jednego bagnietami wykuł. Piotr Bazyli Wierzbicki, kapitan 113 półbrygady.

– Paulino, jak się czuje mój syn?

– Jest wesoły jak zwykle.

– Zabierz go i wróćcie do Francji.

– Nie. Nie, Wiktorze-Emanuelu – mówi Paulina do wychudzonego, wycieńczonego męża. Jego skóra nabiera niepokojącego koloru, albo tylko jej się tak wydaje. Lekarz Peyre jest dobrej myśli? Udaje przed nią? A może boi się jej? Boi się kobiecej hysterii i zemsty siostry Napoleona? Paulina – drobna, śliczna, nazywana przez najbliższych lalką – zastanawia się, dlaczego tak często, już od dziecka, pozwala sobie na pesymizm.

– Dlaczego?

– Nie odejdę!

Leclerc pochyla się na fotelu ku siedzącej u jego stóp kobiecie.

– Ty możesz się bać, ja nie, jestem siostrą generała Bonaparte.

Leclerc wzdycha, gładzi żonę po głowie.

– Tutaj, w Cap, przy ulicy Tres Rostras, była oberża „Pod Koroną”, należała do Mademoiselle Monjeon. Stołowałem się u niej, a karmiła mnie czarna ręka Henri Christophe’a, który był tam kuchmistrem. Doskonale piekł *vol-au-vent* z żółwia.

Roztargniona Paulina myśli, że będzie się modlić o zdrowie Leclerca do świętego Jerzego, a za poradą Marinette natrze drzwi domu zaparzonymi w wodzie odpadkami tytoniu.

– Szkoda, że zrezygnował z gotowania, żeby zostać powstańcem.

– Nie lubię żółwi – szepcze Paulina.

– Mówisz tak, bo jeszcze nie spróbowałaś dobrze doprawionego kawałka.

– Nie. Nie lubię żółwi za to, że żyją dłużej od ludzi.

– Kochanie, to powinnaś je jeść bez przerwy.

. . . .

W hounfor mambo Marinette zapala świece dla *les mysteres*. Są to

parafinowe walce o krótkich knotach, każdy puszczonej na święconą wodę, w głębokich naczyniach ze szkła. Murzynka ustawia je na ołtarzu przed posągami: Trzech Magów, Dziewicy Maryi – Ezilie, Świętego Piotra – Papa Legba, świętej Barbary na koniu. Obok szeregu kolorowych *govi*, słoii, z których każdy mieści *ti bon ange*, duszę żywego poświęconą Baronowi Samedi. Temu Co Rządzi Śmiercią, Temu Co Rządzi Namiętnością. Panu Cmentarzy i Sypialni Kochanków.

Marinette się modli.

Budzi go wycie psów. Zrywa się, zdumiony faktem, że spał. Już myślał, że tę cudowną umiejętność, ten boski dar zatracił. Ktoś tam na zewnątrz jednak nie śni, ktoś krzyczy. Jan Zygmunt, nie wciągając długich butów, w samej tylko koszuli wybiega w jasną noc. Przed nim płonie psiarnia.

Jan Zygmunt pociąga nosem, czując specyficzny zapach: drzwi wysmarowano smołą, by żadne zwierzę się nie wydostało.

– Świnie! Mordercy! – krzyczy w stronę niemych gwiazd, które dwoją się i troją w podrażnionych dymem oczach. Jan Zygmunt płacze.

Płacze i biegnie. W amoku, niepowstrzymywany przez nikogo, próbuje wykopać wrota. Wybić je porzuconym prętem, widłami, czymkolwiek...

– Zginiesz, człowieku!

Myśli tylko o tym, że tam wyją suki, które noszą w łonach płody zamordowanego molosa. Drzwi padają, odskakuje w ostatniej chwili. Czuje pieczenie na czubku głowy, na rękach. Czuje, że żyje. Że jest.

Zza progu, jak piekielna pochodnia, wyskakuje płonący pies. Słyszczać strzał i głuchoe uderzenie. Jan Zygmunt spogląda do wnętrza piekła i widzi psy spalone jak zapalki, inne poduszone, wyglądają, jakby spały. Irracjonalnym nadziejom przeczy smród spalonej sierści. Jan Zygmunt daje się pochłonać piekłu, tak jak Jonasz pozwolił się pochłonać wielorybowi. Hańba i pokuta.

– Janek! – to głos Lisieckiego. Odwraca się. W tym momencie płonąca belka opada, miażdżąc mu stopę.

Potem gdzieś go niosą. Zdaje się, że prowadzi Lisiecki. Kieruje prowizoryczne nosze w las. Las pełen ognisk i bębnow; te ostatnie szepczą jego imiona, które dostał na chrzcie: Jan Zygmunt. Wcześniej

nikt taki nie istniał...

Musiał się zdrzemnąć, albo raczej stracić przytomność; z bólu, bo ból, rozchodząc się od stopy, pulsuje miarowo, zalewając całe jestestwo.

– Janie Zygmuncie? – starucha, której wcześniej nie było, woła go po trzykroć i po trzykroć uderza czymś w jego zapocone czoło.

Trzonkiem noża, kowadelkiem, kością... Nie wie.

Pachnie kwiatami i cygarem, z którego popiół stara obsypuje na męskie wargi. Jana Zygmunta swędzi świeży zarost; czuje, że umiera, ale broda, wąsy jeszcze o tym nie wiedzą.

– Jestem *mambo* Marinette. – Kobieta ma na sobie czepek i halki; piersi są obnażone. Ranny z fascynacją spogląda na wyciągnięty, suchy biust, który swego czasu musiał wykarmić legion dzieci. Czerwieni się ze wstydu, ale nie potrafi oderwać oczu od tego pergaminowego, zapisanego czasem ciała. Podnieca się jak chłopiec. Ulega złudzeniu, że para kobiecych sutek równie intensywnie wgapia się w niego.

– Uciekaj z własnego grobu, chłopcze... Uciekaj!

I pojmuje, że Marinette to ta sama wynajęta płaczka, która przyszła obmyć zwłoki Podwysockiego.

„Zemrzeć znaczy zamierać” – myśli mądrze i głupio równocześnie.

Jego głowę, poranione ciało obmywa kąpiel z rumu, krwi i wody święconej. Lisiecki wraz z niewielką grupą innych tu obecnych, anonimowych postaci wznosi litanie do *loa* Papa Legba – tego, który znosi granice pomiędzy wymiarami.

Mambo w jednej ręce trzyma szablę, w drugiej białego koguta. Ptak ma ciasno zawiązane pazury. Pieje, niespokojnie bije skrzydłami tuż przy twarzy Jabłońskiego. Jan Zygmunt czuje wiatr wzbudzony przez ptasie pióra, przepocony zapach pierza. Nagle nachodzi go ochota, by wcisnąć palce w sekretne miejsce kogucich pach. Ciepłe, gorące...

Purpurowa fontanna strzela ku granatowemu niebu, kiedy *mambo* szablą dekapituje ptaka. „Bardzo zgrabnie, z wdziękiem”, podziwia widowisko Jan Zygmunt, kiedy czarny w świetle księżyca, organiczny deszcz rosi go niby nagłą, wiosenna ulewa. Bębny naśladowują głos burzy.

– Jam jest Baron Samedi. Bez piątku nie byłoby mnie. Bez niedzieli nie ma mnie – ta formułka wychodzi z ust opętanego Lisieckiego. Jakie to niepolskie. Andrzej, jesteśmy Polakami...

Baron Samedi, Pan Cmentarzy i Miejsc Nawiedzanych przez Zmarłych. Król Haiti. *Loa* Namiętności.

– Pieprz mnie – mówi Marinette i to Janowi Zygmuntowi wcale się nie wydaje. Cienie wokół nich zaczynają się pieścić.

– W imię tego, co jest pomiędzy Piątkiem a Niedzielą – szabla unurzana w jusze koguta ofiarnego wznosi się nad Janem, ale gdy ten spodziewa się cięcia na gardle, ta odrąbuje mu stopę.

Z nocy Wszystkich Świętych na Zaduszki generał Leclerc kona, utulony w ramionach Żółtej Febry, Czarnej Bogini. Paulina, którą Peyre wyprosił z sypialni umierającego, przegląda się w lustrze wiszącym tuż obok zatrzaśniętych klamek, w korytarzu. Widzi swoją twarz i nie poznaje jej. Jeszcze. Lustro jednak już wie, że ma przed sobą wdowę.

„Wdowa Paulina Bonaparte-Leclerc” – trzeba będzie nauczyć się na pamięć. Jak tabliczki mnożenia, kolejności liter w alfabecie, nazw miesięcy z francuskiej rewolucji. *Pluviôse, Ventôse, Germinal, Floréal, Prairial, Messidor, Thermidor, Fructidor, Vendémiaire, Brumaire, Frimaire*; Paulina chce je powtórzyć na wspan, żeby uspokoić oddech, ale przy *Brumaire* zaczyna krzyczeć.

. . . .

Odkąd tylko tu jestem, mam przed oczami jedynie pożary, bunty, zabójstwa, umarłych i umierających. Moja dusza jest unicestwiona. Nigdy żadna wesola myśl nie pozwoli mi zapomnieć tych potwornych obrazów. Generał Wiktor Emanuel Leclerc, dowódca korpusu ekspedycyjnego na San Domingo.

Niosą go na noszach. Wciąż jest otumaniony. Nie wie, gdzie jest, ale musi to być jeszcze San Domingo. Przydałby się jakiś przewodnik, który szedłby obok, opowiadał krajobraz, „jesteśmy tu a tu”; mówił, co go jeszcze czeka. I kim jest.

Żaden z młodych sanitariuszy, którzy patrzą w przestrzeń, żeby tylko nie spojrzeć na niego, do tego się nie nadaje. Oni się boją. Boją się życia, boją się losu. Idą, a jednak stoją w miejscu. Zaskakujące, że dotyczy to takiej masy młodych.

Głowa Jana Zygmunta w rytm marszu kołysze się z boku na bok, jego kikut także. Ten brak będzie go teraz charakteryzował... Kaleka.

Przesycone ropą i zakrzepłą krwią płócienne bandaże, zawiązane tuż nad kostką. Nad pustką. „Gdzie jest moja stopa?”, myśli.

– Gdzie jesteście? – chrypi wreszcie głosem jakby zapiaszczonym. Surowym. Starym. Niepotrzebnie, zapach martwych alg i ryb mówi o bliskości morza, portu.

– Szczęściarz z ciebie, wracasz do domu.

– O tym nie pomyślałem.

„Jego” sanitariusze śmieją się.

W porcie tłum. Krzyki. Ten i ów próbuje się zamustrować. Zabraniam! – Słysząc zza morza głos Napoleona. Wielu próbuje odszukać wśród odpływających kurierów, którzy zawieźliby do domu paczkę listów; w niej miłość i nienawiść, zwykłe głupoty, zdrady, prośby o pieniądze, o modlitwy. Nalegania... Ostatnie słowa umierających. Podania o zluzowanie, o urlopy. Jeszcze bez cenzury, jeszcze nie konfiskowane.

Młody sierżant, stojąc na trapie ze szkolnym notatnikiem i obgryzionym ołówkiem, wskazuje, gdzie na pokładzie kłaść nosze.

Jan Zygmunt czuje gwałtowne szarpnięcie. I fantomowy ból stopy, której nie ma. Tym bólem obchodzi po niej żalobę. Czy nie jest to kwintesencja tego stanu?

Mruga powiekami, bo jakaś czarna kobieta pochyła się nad nim, a on jej nie rozpoznaje. Postać przybliżyła się, olbrzymieje, jakby jej czarna twarz próbowała go wchłonąć, pożreć. Rozmazuje się, zasłania cały horyzont, kiedy tak ich nosy – kobiece i męski, płaski i ostry – prawie się stykają. I gdzieś w szparze czasu i przestrzeni przychodzi rozpoznanie.

– Musisz ją ze sobą zabrać! Jest kwarteronką i kochanką bonapartysty, ludzie Krzysztofa nie pozwolą jej żyć.

Przekręca głowę i tuż za Titubą widzi Paulinę Walerię. W tej samej co niegdyś kremowo-żółtej sukience, włożonej albo przez przypadek, albo z perfidną premedytacją, by złapać Jana Zygmunta na lep wspomnień, jakby był muchą biegnącą do miodu. Jan Zygmunt myśli, co by było, gdyby urodziły się im czarne dzieci. To możliwe! Kwarteron ma w sobie jedną czwartą murzyńskiej krwi, która po długim śnie może się przebudzić.

Paulette trzyma twarz ukrytą w śniadych, gołych dłoniach (zapodziała gdzieś koronkowe mitenki) i nie odrywa ich nawet, kiedy słyszy, że Jan Zygmunt krzyczy z noszy do sierżanta, wskazując na nią:

- Ona jest ze mną!
- Czy to pana rodzina?
- Nie.
- Musi więc poczekać na inny statek. Nie szpitalny.
- Ona jest w ciąży.
- Czy to pańskie dziecko?
- Tak – mówi pewnie.
- Czy ta pani jest pańską żoną?
- Nie...
- Przykro mi, nic nie poradzę... Panie muszą odejść.
- Miejże, chłopie, trochę uczuć – krzyczy Jan Zygmunt na sierżanta. Tamten się krzywi zawstydzony. Tłum napiera.
- Proszę... – nie wiadomo kto to mówi.

. . . .

To słowo wymknęło się niczym Duch Boży, ostatnie tchnienie. *Ti bon ange.*

Do zablokowanego trapu przepycha się dwóch Murzynów w sutannach, ale bez tonsur; ich kędzierzawe włosy zarastają czaszki ciasno, jak mech zarasta kamienie w rodzinnym kraju Jana Zygmunta.

– Proszę dać nam ślub – szepcze.

Jeden z „Ojców Sawanny” (tak ich zwie miejscowa ludność, do której przemawiają po kreolsku) kiwa na znak zgody. Drugi czarny się uśmiecha. Brakuje mu wszystkich dolnych zębów.

Nie mogę nie kochać Napoleona Bonaparte, bo to Pierwszy Konsul dał mi Paulette. Dał mi Titubę. A w zamian wziął tylko pokrytą nagniotkami stopę...



Siostry

Jabłonny Sad, zima 1831/1832 roku

Licha trumna nie chce zatonać w ziemi. Dół na grób wciąż jest zbyt płytki. Pokryte szronem łopaty beznadziejnie szcękają o zmarznięte grudy. Ziemia, zwykle gliniasta, tego stycznia zamarza na kość i broni dostępu do siebie innym kościom... Lód lśni jak lzy, a przecież nikt nie płacze; nawet Józefina Maria o opuchniętej twarzy i czerwonych powiekach.

Anna Konstancja ocenia trumnę na chłodno, jakby zgodnie z intencją zimowego poranka. Patrzy na grabarzy, którzy zaczynają się pocić z syzyfowego wysiłku. Na wyschniętego wikarego i proboszcza, który jest najwyraźniej skonfundowany, jakby to jemu osobiście ziemia należąca do Kościoła robiła na złość. Milczy. I dobrze, łacińskie słowa czyniły ten dzień jeszcze okrutniejszym, bardziej niedorzecznym: swym niemrawym, niegramatycznym gładzeniem ktoś chciał wypełnić pustkę, do której się rodzimy, dla której umieramy. Cichy pochówek wydaje się czymś naturalniejszym, ot, jak chowanie ukochanego psa, którego poznało się, będąc jeszcze w pieluszkach. Strata jest zbyt wielka, zbyt intensywna i pierwotna w swym źródle, by pokrywać ją jakąkolwiek kulturą. Oprócz rodziny, oprócz ludzi, którzy są zobowiązani do wykonania swej pracy, przyszło jeszcze kilku chłopów. Mną czapki w zgrabiających palcach i otwierają usta, dukając modlitwy. Wokół tych ust zbiera się mgła. Wyglądają jak ryby wyrzucone na piasek.

Nie ma nigdzie Tituby. Zniknęła. W końcu powróci, bo cóż innego mogłaby zrobić? Anna Konstancja spogląda na grób ukochanej matki – kobiety, której już nie pamięta. I martwi ją to mniej, niż oczekiwała. Pański kawałek cmentarza, przeznaczony dla rodziców, dla córek – starych panien, które umrą w dworku. Dla synów, jeśli ci nie pozwolą zabić się w bitwie.

– A gdyby zanieść trumnę do kościoła? Ciało mogłoby poczekać tam do odwilży... – wyrywa się Józefinie Marii. Wszyscy obecni są zmuszeni zgodzić się z nią. Trumna zostaje więc z powrotem uniesiona, łąduje na barkach nosicieli, wraca do oświetlonej kagankami nawy. Jednego z grabarzy proboszcz wysyła po łom i dłuższe sznury. Pod stopami ma płytę, która po odsunięciu prowadzi do ossuarium. Sam kościół jest stary, kamienny, pamiętający średniowieczną świetność zapyziałego obecnie Jabłonnego Sadu. Na pewno minął już wiek, a może dwa, kiedy płytę z tańczącymi kościotrupami odsuwano po raz ostatni. Jednak ta chodzi miękko, bez zgrzytów. Wykonana w złotym wieku. Bardzo, bardzo dawno temu. Obecni niemalże bez udziału świadomości wstrzymują oddech, ale tam na dole nic nie ma, nic się nie psuje. Czuć tylko kurz.

Spuszczają trumnę prawie na oślep, bo kościół jest ciemny i niebogaty w воск. Jedna z lin, opuszczona zbyt gwałtownie, przechyliła ciężar. Olchowe drewno uderza o kamień. Trzask pękającej deski – staje się jasne, że na wiosnę nie znajdzie się nikt chętny, by ekshumować ciało.

– Żegnamy naszego brata...

„Brata, ojca, przyjaciela, ciężar i wyzwolenie”.

– Do widzenia, Janie Zygmuncie – mówi Anna Konstancja.

Następna msza za duszę zostanie odprawiona jutro.

Wychodzą ze świątyni, kiedy traktem obok przejeżdża chłopski wóz. Na furmance, opatulony futrami, leży ranny powstaniec.

– Teodor Florian!

Tamten otwiera oczy na krzyk Józefiny.

– Łóżko akurat jest puste – stwierdza rzeczowo jej siostra.

Wcześniej Anna Konstancja wchodzi do pokoju ojca. Odsłania całe okno, otwiera je szeroko. Płatki śniegu uderzają ją w twarz, a wiatr

miesza i przegania stęchłe powietrze. Młoda kobieta stoi tak chwilę i oddycha pełną piersią. Później przypomina sobie, dlaczego może to zrobić, i odwraca się. Odwraca się do pustego łóżka, odwraca się w stronę przeszłości. Tak. Nie może uwierzyć, że ojca nie ma. Że nie wyjechał, lecz umarł. Wciąż czuje ciężar jego głowy na rękach, a przecież wydaje jej się, jakby przeoczyła moment śmierci. Tą amnezją, tym ograniczeniem percepcji jej umysł ratuje się przed obłędem. Nazywają to samoleczeniem. Czuje jego nutę. Czuje swoją jałowość. Jest ospała. Gdyby tylko potrafiła płakać...

Co ona w ogóle tu robi? Z nagłą pychą odkrywa, że to ona powinna umrzeć, bo na śmierć była lepiej przygotowana od ojca. Nie знаła życia, nie miałyby czego żałować. Z drugiej strony, z wyboru, przeżyła już jedną starość. Częstka umarła.

Na parterze odbywa się czuwanie. Honory domu czyni Józefina Maria. Anna Konstancja nie zejdzie, bo ojca tam na pewno nie ma. Równie dobrze ciało można spalić, upchnąć w szafie, utopić. Nie podzieli się z nikim tą myślą, bo nie jest to myśl na czasy, w których przyszło jej żyć.

Kładzie się do łóżka ojca. Na łożu śmierci, wtula twarz w tapetowaną materiałem ścianę, do której jest przystawione, w goły materac. Węszy minione życie. I znajduje poszukiwany zapach. Chce się go nauczyć na pamięć. Zanim zabierze go zimny wiatr. Prześpi tu dwie noce, które dzielą ich od pogrzebu. Będzie oglądać swoje dziewicze ciało, szukając w nim śladów ojca.

Leży na wznak, spleta ręce na piersiach. Później obraca się na bok, sama – jego obracano. Podkłada dłonie pod policzek. O czym Jan Zygmunt myślał, co wspominał, do czego się przygotowywał? Odszedł bez ostatnich namaszczeń. Hańba. Jej hańba, bo nie chciała potęgować swojego strachu. Nic nie wie o życiu umarłego, przeoczyła możliwość spowiedzi. To też był strach. Jest obrócona plecami do pokoju, jak on był obrócony do świata. A przecież dolatywały do niego strzępki rozmów z podwórka, czuł chłód, parcie na pęcherz. Był. Teraz – można się łudzić – jest w niej. Ale ona intuicyjnie rozumie, że powinna pozwolić mu odejść. Odzyskać swoje ciało albo się zabić.

Do pokoju wchodzi Józefina Maria i mąci trans siostry, jak ona

sama mąciła go leżącemu ojcu.

– Tituba odeszła. Słyszysz?

Nie doczeka się odpowiedzi. Zaróżowiona na twarzy, w końcu pójdzie sobie.

Anna Konstancja budzi się świeża, z czystą głową. W końcu jest młoda, zdrowa. Nie otwiera jeszcze oczu, choć czuje czyjąś obecność. W oczekiwaniu zaciska palce w pięść. Mimowolnie wzdycha. Czuje... Co? Jak?

Podnosi powieki i w jednym uderzeniu serca widzi, że stoi nad nią Jerzy. Nieogolony Jerzy w połatanym mundurze. Dusza albo duch. Anna Konstancja już wie. Wydaje jej się, że wie wszystko. Milczy, a może płacze bezgłośnie. Całkiem prawdopodobne, że nad sobą.

Teraz łóżko należy do Teodora Floriana. Józefina Maria gotuje mu rosół z psiny. Wzmacniają, ale i przyprawiają o mdłości.

– ...uciekali w największym popłochu, zostawiając obozowe sprzęty, zapasy żywności i wódkę w beczkach. Żołnierze jednej partii, nie chcąc, by wódka naszym się dostała, wykopali naprędce dół, beczkę weń wstawili, przysypali ziemią i postawili krzyżyk drewniany, jakby to było miejsce wiecznego spoczynku jakiego poległego. Lecz naszych wiarusów niełatwo było w pole wyprowadzić; zwietrzyli podstęp, odkopali wódkę i wypili. – Brat wywdzięcza się, po męsku opowiadając wojenne historie, które jedną siostrę mogą na równi wystraszyć, co podniecić. Druga, Anna Konstancja, pozostaje na nie zdumiewająco obojętna.

– Będą cię szukać? – pyta.

– Możliwe.

– W Jabłonnym Sadzie?

– Czemu by nie, w końcu jestem dziedzic.

– Nie chcesz wyemigrować? Wielu powstańców...

Przedłużająca się cisza.

– Już się dosyć napodróżowałem.

Józefina Maria wtrąca swoje trzy grosze:

– On jest za słaby.

– Widzę – wzdycha Anna Konstancja. – W razie czego cię ukryjemy.

– Co będzie, jeśli cię złapią? – pyta Józefina Maria, trzaskając talerzami.

– Zamkną mnie w cytadeli, wywiozą w kibitce na Sybir, nałożą kontrybucję na dwór.

Usłyszawszy odpowiedzi, kobieta żegna się:

– Ale cię nie zabiją?

– Nie. Carowi szkoda nabożów.

Annę Konstancję przechodzi nagły dreszcz.

– Miałeś jakieś wieści od pana Jerzego...

– Myślałam, że już nigdy nie zapytasz – wtóruje jej siostra.

– Kiedy stałem w Modlinie, otrzymałem od niego list z Zamościa. Potem nic. To znaczy kiedy poddaliśmy twierdzę ósmego października, Zamość jeszcze się trzymał. Jakies dwa, trzy tygodnie.

– Poległ?

– Raczej w kazamatach.

– A ty?

– Ja uciekłem. Jak same widzicie. Jak widzisz, Anno...

– Nie wolno nam tracić nadziei – unosi się Józefina Maria, jakby zapominając, że od października całe Królestwo Polskie przywdziało żałobę, choć ukradkiem noszone pod koszulą ryngrafy z Madonną Jasnogóorską plenią się jak grzyby po deszczu. Żałoba po ojcu, żałoba po ojczyźnie, aż dziw, że siostry nie przemieniły się w kruki.

Co było w liście?

Dla przykładu: *...byliśmy bez mięsa, chleba, owsa, konie żyły suchą trawą spod śniegu dobytą, my pęczkami z sosiny i wspomnieniami.*

Józefina Maria jest w ciąży z Jerzym. Domyśliła się tego po sześciu tygodniach pokładania się i nieustającego apetytu na jabłka. Teraz zaczyna się czwarty miesiąc czy coś koło tego. Nie chce liczyć, a przecież mogłaby policzyć dokładnie... Sama siebie zaskakuje biernością. Ogranicza się do ukradkowego wynoszenia wymiocin i, ostatnio, przewiązywania płóciennymi pasami talii oraz piersi. O Jerzym nie myśli, a jeśli już, to w ten sposób, jakby go sobie sama wymyśliła albo utkała ze światła księżyca. Czy życie może być złe? A przecież życie ją przepelnia, nawet się rozpycha... Będę miała dziecko. Bóg jakoś rozwiąże sytuację. Płodu nie spędzi, nawet nie wie, że istnieje taka

możliwość, a nawet gdyby... Nie potrafiłaby spojrzeć na swoje odbicie w lustrze.

Nie myśli o płci, nie wybiera po kryjomu imienia. Raczej zastanawia się nad własnym. Ojciec nazwał ją Józefiną od Józefiny de Beauharnais, bezpłodnej żony Napoleona. Och, ona sama by się zabiła, zagłodziła na śmierć, gdyby nie mogła dać dzieciątka ukochanemu mężczyźnie. Tylko że już nawet nie wie, czy Jerzego kocha?... Drugie imię wzięła po Najświętszej Marii Pannie. „Nie!” – przychodzi strach, że za ostro sobie poczyna w wyobraźni... A może odziedziczyła je po Marii Walewskiej? Właściwie Maryannie Walewskiej.

Sen morzy przyszłą matkę.

Matka, ojciec – dwa cienie, z których pierwszy ledwo pamięta (składa się nań zapach, kolor najczęściej noszonej sukni, połajanka i całus), a o drugim, który powraca w postaci zalewającego się krwią upiora, jak najprędzej chciałaby zapomnieć. Sieroty są zmuszane przez los do własnej drogi albo znikają w Tartarze. Cichym, czarnym miejscu bez szlochów Eurydyki i pień Orfeusza. Józefina Maria czuje, że czasem jest niespełna rozumu. Zalewana przez potop myśli, utopiona w kompocie z jabłek. Cieszy się jak dziecko...

I pojmuje, dlaczego często tak bywa, że zaraz po pogrzebie następują chrzciny. Co innego można zrobić? Rolą człowieka jest wypełnienie pustki, narodzona owieczka ciężąca na ramionach poprzedniej, tak przez wieczność. Zbyt szybko znikają nazwiska i imiona, ale życie trwa. Józefina Maria zaczyna patrzeć na śmierć ojca jak na życie i przestaje się bać. Klepie się po brzuchu i podejmuje jednak decyzję: jeśli urodzi chłopca, nazwie go Jan Zygmunt Drugi. Czuje, że oto została czarownicą, której podporządkowują się siły natury. Sama jest Zwiastowaniem, sama jest Zbawieniem. Józefina Maria Annuncjata!

Ciszej, ciszej, wolniej. Dziecko formuje się w ciszy; oboje jeszcze nie przekroczyli półmetka, które dzieli ich od spotkania w zapoconej pościeli.

„Mamo! Mamo...” – Taki głos może sobie wyobrazić.

Z lubością gładzi się po brzuchu. Uczucie, którego doznaje, jest podobne do dziecięcej ekstazy, eksplodującej na podniebieniu przy pierwszym cukierku. „Och, to wszystko, wszystko jest niemożliwe”.

Drży. Wypuszcza oddech ustami. I powraca do niej wierszyk pana Blake'a, szepty przez Niegodziwego Brata:

„Mały baranku, kto cię stworzył?

Czy wiesz, kto cię stworzył?

Dał ci życie i nakarmił

Przy strumieniu i na łące?”

Siostry rodowym prawem oddane we władzę brata. Józefina Maria fałszywie wyznacza sobie opiekę nad rannym jako pokutę za to, że opuściła ojca. Jednak by była pokuta, potrzebna jest skrucha, a tej młoda kobieta nie czuje. Gdyby cofnięto czas, nie zachowałyby się inaczej. „Jestem tym, kim jestem”. Udaje więc tylko, dopóki nie uzna, że ma dość. Dopóki jej się nie znudzi. Zamiera zamyślona, a łyżka z kleikiem nie trafia do oczekujących ust, tylko wyrzuca swą zawartość na pierzynę. Plama wygląda ohydnie.

– Przepraszam – szepcze Józefina Maria. Walczy w niej pokorność z gniewem.

– Wybaczam. Tak naprawdę to nie jestem głodny.

Ona zabiera naczynia, trzyma tacę na kolanach. Powinna ją odnieść na dół, do kuchni, czy tylko odstawić i zabawiać brata rozmową?

– Nie chciałbyś się przespać? – pyta z dobrze ukrytą nadzieją.

– Dopiero co wstałem.

– Sen ci pomaga.

Teodor Florian się śmieje. Zabiera jej dłoń, przyciska do swoich szorstkich policzków, całuje. Zaciąga się powietrzem i wacha. Zawsze był w tym dobry. W wietrzeniu, obserwacji. Jest drapieżnikiem, dziedzicem drapieżnika. Teodor Florian wywąchuje prawdę.

– Zmieniłaś się – zaciska palce.

Józefina Maria gwałtownie się podrywa. Taca ląduje na podłodze.

– A może... – Teodor Florian nie kończy myśli. Jakby od niechcienia rozluźnia uścisk. Jest dziedzicem.

Józefina Maria trzaska drzwiami, pędem pokonuje stopnie. Gdzieś w połowie potrąca Annę Konstancję, która człapie na górę zaniepokojona hałasem.

Na krześle, tuż obok łóżka stoi mokry pędzel i woda z mydlinami w fajansowej misce; z oparcia zwiesza się pasek do ostrzenia brzytwy.

Anna Konstancja pochyla się nad bratem z ostrzem w dłoni.

– Chcę widzieć – mówi Teodor Florian.

Kobieta obraca się, w zasięgu ramienia ma toaletkę z marmurowym blatem i szufladami. Wysuwa jedną z nich, wolną ręką wyjmując okrągłe lustro, lekko zaśniedziałe w miejscu obsadzenia na srebrnej rączce. Grzbietem dłoni zatrzaskuje szufladę.

Szyja i bark Teodora Floriana nie wyglądają najlepiej, szczególnie szyja. Postrzępione boki rany sprawiają wrażenie, jakby przy nieco silniejszym szarpnięciu miały się rozejść. Anna Konstancja ogranicza się do ogolenia policzków i sterczącej brody. Woda ścieka w szmatkę, owiniętą jak śliniak.

Teodor Florian ściska lustro. Wpada promień białego słońca, odbija się od tafli, grzęźnie na suficie. Mężczyzna puszcza zajęczka na twarz siostry. Brzytwa zamiera.

– Skaleczę cię.

On robi swoje. Ona jest spokojna, wciąż spokojna. Jeszcze...

– Sądzę, że Józefina Maria jest w ciąży.

Cisza.

– No, dalej. Skończ mnie golić, a później spytaj ją o dziecko.

Anna Konstancja lekko wilgotną ściereczką zmywa resztkę mydła z jego twarzy; to musi mężczyźnie wystarczyć.

– Czy to prawda?

Odpowiada jej uporczywe milczenie bliźniaczki.

– Gadaj!

– Oszaleliście! Oboje! To niegodziwe – robi błąd i cofa się do kąta.

Anna Konstancja patrzy na jej zmizerniałą twarz, odsłonięte przedramiona, pokryte czymś, co wygląda jak wysypka; zastanawia się, jak to możliwe, że prawdę odkrył ktoś tak obcy, tak odmiennie zbudowany jak mężczyzna.

– Przyznaj się! – skacze ku niej i wreszcie daje ujście tłumionej furii, zazdrości, głodnemu pożądaniu.

– Przestań! Nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła – kłamie w żywe oczy. – Wiesz przecież.

O tak, Anna Konstancja wie swoje. Bije Józefinę Marię za wszystkie dni, które musiała spędzić z ojcem zakopana w jego pokoju,

bije również za te, które tej osobliwej parze zostały odebrane.

– Przestań, bo zrobisz nam krzywdę! – wrzeszczy Józefina Maria, osłaniając brzuch.

Dobrze, na razie wystarczy. Anna Konstancja cofa się tyłem, jakby zamiast Józefiny Marii miała przed sobą obmierzłego, ukrytego dotąd pod podłogą gada. Opuszcza pokój, zamykając drzwi na klucz.

Ten mroczny dom coraz mniej przypomina dworek szlachecki, a coraz bardziej labirynt. Ściany wyginają się i odsłaniają swoje pęknięcia. Podłogi falują. Zapach jabłek dawno wywietrzał. Drzwi nie prowadzą tam, gdzie dotąd prowadziły, a korytarze wiją się jak węże. Anna Konstancja nigdy nie czuła się jeszcze taka zagubiona. Sierotka w ciemnym lesie... Wszyscy mnie porzucili!

Migrenowy ból narasta nad prawym okiem, ale nim atak przybierze na sile i pojawi się ostateczna aura, Anna Konstancja dotrze na strych Tituby. Nigdy jej nie ma, kiedy jest potrzebna! Anna Konstancja zastanawia się, dlaczego może jeszcze zrobić krok do przodu, kiedy ma wrażenie, że przecięto ją od czubka głowy do krocza, a całą duszę wtłoczono w jedną, pozostawioną połowę.

– Trzeba się pozbyć tego bękarta – mówi głośno. – Tituba wiedziałaby, jak to zrobić.

Metodycznie, tym bardziej że prawie na ślepo, bo pochłonięta przez ciemność bólu, przegląda wszystkie porzucone tu rzeczy. Nie jest tego wiele. Kilka sukienek, parę jarmarcznych klejnotów, książka o okładkach grubo poplamionych woskiem. Annie Konstancji nie przychodzi nawet do głowy, żeby sprawdzić, czy to Biblia.

Nigdzie ani garści ziół.

Schyla się pod łóżko. Pajaki korsarze umykają do cienia. Jej przyśpieszony oddech podnosi kurz. Z porzuconego nocnika snuje się woń uryny. Za nim stoi jeszcze jedno naczynie, szczelnie zamknięte. Anna Konstancja wyczołguje się, trzymając oburącz pstrokate *govi*. Udaje jej się jakoś wstać, prowadząc plecy po ścianie, która na jakiś czas przestała falować.

Prostuje się. Unosi ręce; ma wrażenie, że przylepiły się do barwnego szkła, wrosły w nie, stając się obce. Nie może poruszyć palcami, rozkłada ręce. Słój tłucze się w całkowitej ciszy, bo wszystkie

dźwięki zagłusza pulsowanie krwi w skroniach.

Anna Konstancja uwolniła duszę. Niech *ti bon ange* wyleci kominem albo niech schowa się w zaplemnione łono. Wszystko jedno.

Józefina Maria czeka. Odkrywa swoją cierpliwość, odkrywa, jak potrafi być mocna. Nie zrobi sobie krzywdy. Za trzydzieści lat będą się z tego śmiać: ona i dziecko o jej rysach. Nie zaryzykuje ucieczki przez okno – tamci w końcu pogodzą się z prawdą.

Pod drzwiami słyszała czyjeś kroki, jakieś szmery. Jest podsłuchiwana, podglądana; więc wszystko, co chciałaby powiedzieć, wykrzyzczyć, kieruje do wnętrza. Wie, że ten, kto ma usłyszeć, wszystkiego się dowie.

Czuje głód, bieliznę ma pobrudzoną, chociaż próbuje zachować resztki higieny, wybierając sobie jedno miejsce... Mdłości minęły, jak ręką odjął. Bardzo oszczędnie, po odrobinie spija wodę z miednicy.

Nienawidzą jej oboje: Anna Konstancja i Teodor Florian. Zawsze osobno. Ta pierwsza miota się jak ćma za ścianą. Brat stąpa powoli, żeby nie urazić ran, ale jest w tym więcej udawania niż właściwej przyczyny. Józefina Maria także nie da się oszukać. Niech go biorą psy carskie i zabiorą z Jabłonnego Sadu. Modli się o to. Żałuje tych wszystkich zupek i całego trudu. A jednak czuje się przez to wzmocniona: słuchajcie i patrzcie, do czego jestem zdolna. Zwija się w kłębek, jak niedźwiedzica w gawrze; potrafi przespać tę zimę. Do tego została stworzona.

Teodor Florian wsuwa list w krzywą szparę między drzwiami a progiem.

Józefina Maria rzuca się nań chciwie. Czyta:

Czekam na ciebie, cały jestem przepelniony tobą. Myśl o tobie i o tym pełnym uniesienia wieczorze wprawila w zamęt moje zmysły. Słodka, niezrównana Józefino, cóżeś uczyniła z mym sercem?

Podpisano: „*Napoleon*”.

Przetrwały obie: z miłością, nienawiścią, zazdrością.

Anna Konstancja przynosi Józefinie Marii kawę w dzbanku, jedzenie; zmywa kompromitujące plamy z wnętrza pokoju.

– To moje życie – mówi Józefina.

– Ty to nazywasz życiem? – tamta zatacza krąg dłonią.

– Żal mi ciebie.

– Jesteśmy rodziną – padają słowa, które niby mają wszystko wyjaśnić, usprawiedliwić. Anna Konstancja przykuca naprzeciw siostry, która siedzi na brzegu łóżka, macha nogami, objijając pięty o podłogę. – Robisz się gruba – mówi. – Kto jest ojcem?

– To nie twoja sprawa!

– Jesteś głupiutka – zdejmuje Józefinie Marii spocony lok z czoła. To jest gest macierzyński, przypisany kobietom przez Boga. Jednak Anna Konstancja zazdrości siostrze seksu. Seksu, bo nie miłości. Jej ciało jest go spragnione, chce tego czy nie. – Kto jest ojcem? – powtarza. Przez myśl przechodzą jej mężczyźni, których spotkała na tym skrawku ziemi: wyzwoleni chłopci, żydowski domokrażcy, wikary... Drży. – Bo przecież nie był to Duch Święty?!

– Nie powiem ci! Nie możesz mnie do tego zmuszać!

– Zastanów się – gdy wstaje, strzela jej w kolanach. – Nie wypuszczę cię stąd, dopóki się dobrze nie zastanowisz.

– Nie możesz mi tego zrobić! Proszę, nie rób mi tego – złość i strach, nedorzecznie zmieszane w jedno.

Anna Konstancja jest głucha na te cudze emocje. Patrzy do swego pustego wnętrza i zatrząskuje drzwiami.

– Nie mogę ci powiedzieć... – skomlenie.

Anna Konstancja myśli. Wyzwolony chłop, żydowski domokrażca, wikary. Oni wszyscy...

Dziecko należy do Jabłonnego Sadu.

. . .

Anna Konstancja spaceruje po ogrodzie, który ubrany w czysty śnieg wygląda jak krajobraz z bajki dla dzieci.

Zapędma się aż pod *hounfor*, miejsce Tituby. „Ona wróci”, myśli. Spostrzega równocześnie, że nadwątlony czasem dach aż jęczy pod białym ciężarem. Następnej zimy nie przetrzyma... Jej serce bije gwałtownie, ale wchodzi do wnętrza. Pod sufitem na magicznie rozciągniętych sznurkach wciąż suszą się liście tytoniu. Wyglądają jak stare halki.

– Och – wyrywa się westchnienie. W nagłym olśnieniu uświadamia sobie, że całkiem zapomniała, iż kiedykolwiek paliła. A przecież

sprawiało jej to taką przyjemność!

Przygląda się pomalowanym, pozbawionym proporcji posągom świętych. Kamień, od którego z wiekiem odpada lakier, staje się chropowaty. Jakby miał zacząć krwawić... Nic takiego nie następuje. Święty Piotr, święta Barbara... Święty Jerzy. A ten jak się nazywa? Wszyscy oni nazywają się inaczej. Tak, tak, szepczą ich widmowe głosiki, podobne do głosów dzieci.

– A ty jesteś Papa Legba – kobieta oznajmia głośno. Figury zaczęły się poruszać, rozpierać. Chichotać, jakby ta odpowiedź bardzo je rozśmieszyła. A kto zadał pytanie?

– Papa Legba, Strażnik Tajemnych Wrót i Rozstajnych Dróg.

I widzi we wspomnieniu Titubę plującą rumem na ogniki świec, na te gładkie oblicza lalek.

Anna Konstancja postanawia je stąd zabrać. Nie po to, by uchronić je przed lodowatym zmiążdżeniem. Raczej by chronić samą siebie. Swoją dom.

Po kolei wkłada je pod pachy – są lekkie, bo wydrążone w środku – i przenosi do szopy, w której przechowywano jabłkowy susz. Ta ma solidną kłódkę na skoblu. Anna Konstancja zdrapuje osad rdzy czubkiem paznokcia. Jest spocona, ale i zadowolona. Z satysfakcją myśli o pustym *hounfor*.

„Ba – ba – ba. Ba – ba – ba!” Mruczenie ucicha w pół nuty...

– Zamieniłam się w strażnika więziennego – mówi nagle ze zgrozą.

Staje przed zamkniętymi, pociemniałymi drzwiami. Wyglądają, jakby drżały, ale to jej głowa się trzęsie; jakby sama ta głowa była starszką. Bo ciało ma dwadzieścia lat – ani mniej, ani więcej. Anna Konstancja przesuwa jego ciężar to z palców na pięty, to z powrotem. Słyszy stłumiony szelest. Przylega do drzwi, przyciska ucho do ciepłego, zapastowanego drewna. Za tą przegrodą jej siostra Józefina Maria robi to samo. Gdyby ktoś zdjął dach, przemieniając dworek w dom dla lalek, bez trudu dostrzegłby podobieństwo kobiet. Są tego samego wzrostu, obie z matowymi cerami. Józefina Maria waży teraz nieco więcej, ale to minie. Dziecko w końcu się urodzi, nie zniknie. Obie posługują się tym samym gestem, tą samą mimiką, nieświadomie się parodiując albo – jak w dzieciństwie – współzawodnicząc.

Anna Konstancja sięga do łańcuszka przy pasie. W ledwo rozumianym rytuale przelotnie muska medalion, w którym spoczywają włosy matki. Później sięga po odpowiedni klucz. Wkłada go do zamka, przekręca. Drzwi stają otworem.

Józefina Maria stoi na progu i wydaje się wyższa oraz potężniejsza od Józefiny Marii, którą siostra zapamiętała. Subiektywne doznanie, fabrykowane przez ludzkie sumienie.

– Postanowiłam cię wypuścić – mówi ta, która nosi klucz.

Teodora Floriana nawiedza podczas snu wspomnienie wojenne. Znowu jest na rozświetlonym polu, które jeszcze nie posmakowało krwi. Słyszy modlitwy kapelana, spowiedź kolegów żołnierzy. Moskale czają się w pobliskim lesie...

Teodor Florian celuje nabojem pełnym broku w płachtę rozćwierkanych wróbli. Nieświadomie przesuwając językiem po spieczonych wargach. Ćwir – ćwir. I kapelan: ćwir, ćwir; i żołnierze...

Strzela. Gęstym deszczem połowa ptactwa spada na ziemię; druga się rozprasza. Cisza.

„Hej, kto Polak, na bagnety!

Żyj swobodo, Polsko żyj!

Takim hasłem cnej podniety

Trąbo nasza wrogom grzmij!”

Noc. Anna Konstancja jak nieproszony duch wślizguje się do pokoju. Robi to, na co dawniej, pomimo intensywnych pragnień, nigdy nie starczyło jej odwagi.

Mężczyzna leży na łóżku, w ciemności. Dopóki się nie odezwie, nie będzie wiadomo, czy to ojciec, czy już syn... I o to chodzi. To jest dobre.

Wyciąga się u jego boku w pełnym rynsztunku dziennego ubrania. Czubki jej trzewików rozchodzą się i celują w sufit. Ręce ma opuszczone wzdłuż ciała. Ona i on, upozowani na posągi nagrobne francuskich monarchów.

– Uwolniłam ją.

– Wiem.

Cisza przenikająca przez nich jak woda na skałach podczas przyływu; tak jak może to sobie wyobrazić ktoś, kto nigdy nie widział

morza.

– A ty, masz dzieci?

– Żadnych, o których bym wiedział.

– A te, o których nie wiesz? – Niepodobna, by jej przystojny brat nie zażywał seksu. „Zażywanie seksu”, wyłącznie męski przywilej.

– Człowiek roni nasienie, Pan Bóg robi resztę.

Uraził ją i wyczuwa to. Pozwoli jej na przewagę:

– Opowiedz, jak ojciec umarł.

Opowiada więc, nie poniechawszy żadnego szczegółu.

– Moja biedna, odważna dziewczynka – tym słowom nie towarzyszy żaden gest. Teodor Florian rewanżuje się Annie Konstancji, opowiadając zdarzenie z wróblami.

– Tacy już jesteśmy, co? – szepcze Anna Konstancja.

– Kto?

– My, ludzie.

– Żołnierz to inny gatunek człowieka.

– Nie – kobieta zaprzecza gwałtownie. – Taki sam.

Teodor Florian przesuwając dłoń po swojej szyi, ramieniu. Skóra na zabliznionej ranie odrasta szorstka, pofałdowana.

– Powiedzieć ci, jak umierałem?

– Nie. Widziałam to od zewnątrz, gdybym przeniknęła do wewnątrz, wiedza stałaby się nie do zniesienia.

Jest rozczarowany. Możliwe, że ona też będzie żałować. Kiedyś...

Siedzą w głównym pokoju dworu. Przy stole odziedziczonym po rodzicach. Na krzesłach odsuniętych od blatu, by każda mogła swobodnie manipulować swoją robótką. Kobiety. Siostry. Czasami – tak jak teraz – bliskość powraca i potrafią się zrozumieć bez słów. Tyle że przypomina to powrót ospy wietrznej. Swędzenie ukrywa się, dojrzewa, przebudza w bólu. *Varicella zoster*, poszukiwania straconego czasu.

Zza okna słychać postukiwania końskich kopyt rozbijających zamarżnięte grudy błota. Jeden koń, jeden jeździec.

– Florian – Anna Konstancja woła brata.

– Oszalałaś! – syczy Józefina Maria. – Nikt nie może wiedzieć, że tu jest.

Brat oczywiście nie przychodzi. Annę Konstancję zdumiewa

niemalże zwierzęca intuicja, która niedawno obudziła się w siostrze. „Jest jak pies, który nas uprzedzi, kiedy mury mają zadrzeć”, myśli. Pochyliła się ku tamtej, by to powiedzieć głośno, i właśnie na przedstawienie tego intymnego gestu wchodzi gość. Po jego postawie, sposobie bycia znać byłego żołnierza. „Nasz czy ich?” Odzywa się z silnym akcentem, ale może to Litwin z oddziałów Dwernickiego?

– Panna Jabłońska?

– To ja – odpowiadają chórem. Posłaniec zbyt pewnym krokiem kieruje się ku brzemiennie. Z sakwy podróżnej wyciąga list, który wygląda na urzędowy. Głos mężczyzny mięknie, jakby poprzez delikatność chciał uprzedzić nieuchronną wiadomość, ostrym piórem wytatuowaną na papierze.

– Podporucznik Jerzy Zacharski zmarł na cholere w carskim więzieniu. Proszę przyjąć moje kondolencje, proszę pani – mówi do Józefiny Marii. Kobieta mdleje.

– Bardzo mi przykro. Nie chciałem zaszkodzić matce ani dziecku, panienko – zwraca się do poblądłej Anny Konstancji, podtrzymując bezwładne, opuchnięte ciało jej siostry.

Józefina Maria wraca do przytomności w ciemnym, ciasnym miejscu. Jest tu chłodno, nie – zimno jak w Piekło.

I nie jest tu sama.

Gdyby nie zniekształcone proporcje, chudość i drętwota nawet w bezruchu, we śnie, wzięłaby je za dzieci. Zaciekawiona czołga się ku nim. Ostrożnie. Nie podnosi się z kolan, bo jeszcze nie wie, jak wysoko nad nią jest dach...

Dotyka. Przebiega palcami po rączkach, główkach, nóżkach. Tu kamień, tu naturalne włosy.

Nagle wybucha śmiechem: siedzi przemarznięta w Piekło razem ze świętymi Tituby.

Anna Konstancja chodzi od okna do drzwi i z powrotem, jak pobudzone zwierzę.

Przygląda się temu jej brat, bez emocji, albo przynajmniej udaje chłód. Oderwał jedną nogę od podłogi, w chłopięcym geście wiecznego studenta opiera stopę o ścianę. Że też udało mu się ocalić młodość... Z Anną Konstancją inna sprawa: już wygląda na dużo starszą od niego.

Zgorzkniała kobieta, która pod pachami pachnie strachem. Wącha się tam ukradkiem, by znajomym zapachem upewniać się, że jeszcze istnieje.

– On nie żyje – wreszcie powiedziała to głośno.

– Musiałś to brać pod uwagę – mówi sucho Teodor Florian.

– Ale... – zamiera w pół kroku. Wzrokiem uważnie bada swoje poprzecierane pantofle. – Chodzi mi o siostrę. Kto ją tak zmienił?

Józefina Maria nie płacze po Jerzym. Wspomnienia zdążyły zblednąć, podmaluje je fantazją. „Twój ojciec zginął na wojnie. Jak bohater” – próbuje przemówić do brzucha.

Odkrywa, że jednak czuje się oszołomiona.

„Za szybko...”

Przekracza bramy więzienia i przekracza bramy siebie. Wreszcie jest szczerą. Z ciemnego kąta patrzy na nią twarz, która mogłaby być jej własną.

Mogłaby, ale nie jest.

Anna Konstancja podchodzi do skulonej siostry i bierze ją w ramiona. Trzyma mocno, w jej postawie nie ma wahania. Jej ciało jest twarde i żylaste. To drugie natomiast miękkie, poddające się. Kamień i woda, która go obmywa.

Anna Konstancja obrywa kołnierz siostrzanej sukni. Całuje uszy, szyję, obnażone ramiona. Przyciska kości miednicy do wzdętego brzucha. Namiętność, która szuka w poddanym ciele odkupienia...

Napiera i coraz gwałtowniej obsypuje pocałunkami Józefinę Marię. Ciało, które staje się jedynym pomostem między nią a obracającym się powoli w pył jestestwem Jerzego. Wydobywa je na powierzchnię, próbując odnaleźć ślad jego pocałunków. Pocałunków zwiedzionych. Zwiedzionych dzieci.

Traci dech, a i tamta słabnie w jej ramionach.

Ten mężczyzna... Był jej przepustką do wolności. Wymarzonym królestwem, które rozebrano. Walka jest przegrana. Annę Konstancję przechodzi jeden skurcz, tam na dole, w miejscu zapieczętowanym oszustwem, i to jest już wszystko. Można poprawić włosy w koku. Robią to jednocześnie, patrząc na siebie jak w zniekształcone odbicia z objazdowego gabinetu luster.

. . .

Została zgwałcona. ZGWAŁCONA – ten czyn, który przemienia jej ciało w rzecz, wymaga wielkich liter.

Nigdy już nic nie będzie takie samo, nigdy już nie będzie sobą: Józefiną Marią. Od dziś jest Józefiną Marią Kobieta Zgwałconą. Godziny mijają, a jej wydaje się, że gwałt wciąż trwa. Wciąż czuje mrowienie na całym ciele i schnącą ślinę na skórze. Strach i niedowierzanie oraz złość.

Tymczasem – uświadamia sobie – wcale nie jest ważne, kto jej to zrobił; obojętna tożsamość, obojętna płeć... Jednak ma wrażenie, że jej ciało nie należy już do niej. Zamieniło się w szeroko otwarte drzwi dworcowe, prowadzące na zdeptane perony, albo łuki triumfalne postawione przez najeźdźców. Ciało, rzecz najcenniejsza, jedyna własność na tym padole łez i potu.

Okazuje się, że można żyć bez ciała. W ciele wypożyczanym, skradzionym, wynajdywanym. Jak zombie, jak demon, jak duch. Tak to widzi Józefina Maria, zaciskając uśmiech na ustach, by nie spłynął wraz ze łzami.

Dziecko śpi w łonie. Spokojne, jeszcze obojętne na sekrety, choć samo jest właścicielem tajemnicy życia. Jednak Józefina Maria czuje się podwójnie poszkodowana: i za siebie, i za nie. To na zawsze będzie fałszować rytm wieczornej kołysanki, budzić w nocy.

„Gwałt” i „złość”. Idą w parze, jak „matka” i „dziecko”.

Józefina Maria, obgryzając paznokcie, wpatruje się w ciemność, w której kryją się teraz nieświęci. Rezydują: Piotr, Barbara, Maria, Jezus.

Józefina Maria już nie wie, do kogo i do czego się modli, to teraz obojętne. Ścisła brzuch, prostuje opuchnięte nogi i roztrąca gipsowo-drewniane postacie. Chwieją się jak kręgle, bezruch znika w tej grze. „Bezruch” i „bezradność” – siostry.

– Proszę, pomścijcie mnie! Taki czyn nie może pozostać bez kary!
– gniewnie szepcze Józefina Maria Zgwałcona.

Świątki słuchają w milczeniu, jak modlitwa rezonuje na rzeźbiarskim szkliwie i unosi się w eter.

. . . .

Budzi się w łożu ojca, obok brata, pośród płomieni.
Niedopałek wypadł z jej słabnących rąk, potoczył się na
wypokostowane deski... Chwila dla snu...

Huczący wokół ogień ma kolor wiosennych pomidorów.
Szarpie brata, ciągnie go za zranione ramię. Rana otwiera się, co
wygląda tak, jakby z wnętrza Teodora Floriana także buchał płomień.

Ktoś uderza siekierą, w odpowiedzi skobel puszcza. Drzwi
otwierają się, cicho skrzypiąc. Józefina Maria zdumiewa się, że tak
skostniała potrafi jeszcze poczuć wdzierające się do środka lodowate
powietrze. Jest świt – najzimniejsza pora dnia.

Na progu, w srebrno-różowym obramowaniu, pojawia się postać
Tituby. Jej twarz jest życzliwa, spokojna.

Józefina Maria prostuje się, strzykają jej zastałe kości. Ona jednak
patrzy na swoją mocną dłoń, opierającą się o wezbrany brzuch, i czuje,
że te trzeszczące kości to chwila, ułuda. Jest w kwiecie wieku. Tu, teraz,
tej zimy.

Coś z jaśniejącego nieba opada na czoło, policzki. Nie śnieg –
płatki popiołu, które w geście pokuty można, ale wcale nie trzeba
rozmasać na skórze. Józefina Maria czuje swąd spalenizny, a kurtyna
nierzeczywistości, za którą dotąd tkwiła, nagle się unosi. A może jest
zupełnie na odwrót? Może ciemna baśń dopiero się zaczyna? Tak czy
inaczej następuje Zmiana.

Idą przez ogród do miejsca, gdzie kiedyś stał dwór, a teraz dogasa
wielki dymiący szkielet. Proch na gałęziach jabłoni. Śnieg w szerokim
kręgu wytopiony żarem. Zaskoczeni podczas snu: nikt z mieszkańców
nie mógł ocaleć. Ich ciała, obrane przez ogień do zeszkłonych kości,
spoczywają gdzieś pod smolistym belkowaniem. Trzeba posłać po
chłopów do sąsiedniej wsi, niech pogrzebią... Najpierw tu, później tam.
„Mieszkańcy” – Józefina Maria wie, że do końca życia nie wypowie
głośno ich imion.

Tituba zdejmuje z ramion szal z kłującej owczej wełny i okrywa
nim ramiona ciężarnej kobiety. – To teraz należy do ciebie – mówi
mambo, podając jej zasuszoną stopę ojca. Kończyna straciła tyle wilgoci,

że mogłaby równie dobrze należeć do Pigmeja.

Józefina Maria bierze ją bez słowa. Zaczyna teraz sypać prawdziwy śnieg, zacinać w policzki, kryć uroczysko. Pod zasłoną zapachu spalenizny czuć już wiosnę. Ciężarne mają tak wyostrome powonienie... Uśmiecha się. Popatruje na zgliszcza domu, wytrzymuje spojrzenie ślepych okien i po raz pierwszy w dwudziestoletnim życiu czuje, że jest wolna.



Od autorki

Cytowane w *Siostrach* fragmenty listów i pamiętników z epoki podaję – zachowując oryginalną pisownię – za następującymi publikacjami:

Dał nam przykład Bonaparte. Wspomnienia i relacje żołnierzy polskich 1796–1815, tom I, wybór, komentarze i przypisy Robert Bielecki, opracowanie tekstów Andrzej T. Tyszka, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1984.

Tomasz Chłudziński, *Szlakami powstania listopadowego*, Wydawnictwo PTTK „Kraj”, Warszawa 1985.

Jadwiga Dackiewicz, *Synowie Napoleona*, część II: *Aleksander Walewski*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978.

Jadwiga Dackiewicz, *W gnieździe Bonapartych*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1983.

Aleksander Fredro, *Trzy po trzy*, PIW, Warszawa 1976.

Staropolski sposób przyrządzania żywego indyka oraz „rytuał” jego podania znalazłam we wspomnieniowej powieści Andrzeja Zaniewskiego *Król tanga* (Wydawnictwo „Trio”, Warszawa 1997).

Siostry

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

MottoI

BliźniaczkiII

Anna KonstancjaIII

Józefina MariaIV

WyspaV

Siostry

Od autorki

Karta redakcyjna

